Lwów, Niedziela dnia 8. Czerwca 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 19.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Angiji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

RADYKALNY SPOSÓB ZAŁATWIENIA SPRAWY PROPINACYJNEJ.*)

(Z książki T. Merunowicza p. t. *Żydzi*).

Karczmy wiejskie i żydowskie szynkarstwo, to jedna z najgorszych naszych chorób społecznych, to rana odwieczna, która zatruwa i roztacza organizm narodu naszego, najliczniejsze klasy ludności niszcząc materjalnie i moralnie upadlając.

Polska karczma, to jedna z naszych właściwości narodowych, która nas hańbi i przekleństwo nam przynosi.

To wszystko co się u nas mówi i pisze o poprawie społecznej, o pracy organicznej itp. pięknych rzeczach, pozostanie bajką wierutną, dokąd nie znikną z powierzchni ojczyzny naszej brudne karczmiska w tej postaci, jak one istnieją dotychczas; dokąd one nie przestaną być siedliskiem cuchnącego niechlujstwa, szachrajstwa wszelakiego, lichwy i demoralizacji, schroniskiem złodziei i oszustów, którzy kradną i rabują ludzi w formie nielegalnej, jakoteż takich, którzy to czynią legalnie. Co jest podłego i nikczemnego pomiędzy nami, to wszystko znajduje przytułek w naszej karczmie; co ubezwładnia i do zagłady prowadzi najcenniejsze nasze elementa narodowe pielęgnują troskliwie arendarze karczem i ich zwolennicy; na dnie wszystkiego brzydkiego, wszystkiego szkodliwego ludziom, co się u nas dzieje, zawsze szukać potrzeba karczmy...

Gdzież bowiem do dziś utrzymują się usiłowania, ażeby lud utrzymać w nałogu pijaństwa?

W karczmie.

Gdzie jest siedlisko lichwy wyniszczającej zarówno włościan *jak i dwory?*

W karczmie.

Gdzie są najszkodliwsze i najniebezpieczniejsze kantory zastawnicze?

W karczmie.

Gdzie wszelkie dobre instynkta włościan systematycznie przytępiane bywają?

W karczmie.

Gdzie lenistwo umysłowe, nieporadność, lekkomyślność, lub nieroztropność szlachcica kapitalizowaną bywa na gotówkę?

W karczmie.

Gdzie wszelka rzecz kradziona ze dworu kupowaną bywa?

W karczmie.

Gdzie włościanie, czeladź i oficjaliści zaprawiani bywają do złodziejstwa?

W karczmie.

Gdzie są etapy do uprowadzania kradzionych koni?

W karczmie.

Gdzie sprzedają się chore bydlęta na rzeź?

W karczmie.

Gdzie miary i wagi w handlu bywają najbardziej fałszowane?

W karczmie.

Gdzie nędza ludu w latach głodnych uważaną bywa za kapitał obrotowy do różnorodnych spekulacji?

W karczmie.

Gdzie ciężki przednowek jest żniwem najobfitszem?

W karczmie.

Gdzie grób bogactwa panów i dobrego bytu ludu?

W karczmie.

Gdzie źródło niszczącego naród rozprzężenia społecznego?

W karczmie.

Gdzie jedyna jeszcze zapora do połączenia wszystkich warstw rodzinnego żywiołu narodowego w jednolity zastęp dla wspólnej obrony jego istnienia, zagrożonego różnorodnymi wpływami nieprzyjaźnymi?

W karczmie.

Gdzie ostatni przybytek złych tradycji przeszłości, które nasz naród do zguby przyprowadziły?

W karczmie.

Gdzie znajdowały zawsze i znajdują punkt oparcia wszelkie wpływy postronne obliczone na szkodę narodu naszego?

W karczmie.

Zkąd wyrasta nowe pokolenie obywateli, bez obywatelskiego poczucia; rycerstwa, które nie urosło ani z roli, ani z tego co boli, ale z próżniaczej szacherki i z lichwiarstwa; które nie zapragnęło nigdy pozyskać szlachectwa duszy, lecz z zamiłowaniem przępędza żywot w niechlujstwie zewnętrznem i moralnym brudzie; które nie wie co ofiara dla ogólnego dobra, które gardzi ideałami; które innej broni nie zna jak weksle i skrypta; które fałszywą miarą chce świat zawojować?

Z karczmy!!!

Gdy zaś właścicielom dominikalnym w naszym kraju przysługuje przywilej utrzymywania wyszynku napojów spirytusowych i przywilej ten stanowi istotną część ich własności prywatnej, to nie można żądać, ażeby oni z krzywdą swoją pozbawieni zostali dochodu, jaki im przynosi propinacja, która jeźli jest wielkiem złem społecznem, to nie z winy teraźniejszych właścicieli, i bądź co bądź, o tyle respektowaną być powinna, jak każda prywatna własność w porządnie zorganizowanem społeczeństwie.

Zgadzam się w tem zresztą, jak mniemam, z najgorliwszymi zwolennikami propinacji, że wobec panujących obecnie stosunków przywilej ten już żadną miarą na długo zakonserwować się nie da. Gdyby właściciele propinacji na serjo wierzyli w jej trwałość, to mając większość w Sejmie, byliby przecież nie uchwalili ustawy o zniesieniu prawa propinacji. Wprawdzie pan Kornel Krzeczunowicz tak misternie obmyślał tę ustawę, że czytając ją, trudno zdać sobie spra-

*) Już w r. 1877 w Nr. 46 „Tygodnia“ poruszyliśmy ten przedmiot. Przekonani będąc, iż reforma karczem wiejskich stanowi jeden z najkonieczniejszych warunków poprawy naszych stosunków społecznych, umieszczamy dziś z dzieła „O żydach“ tego samego autora wyjątek, w którym wyłuszczoną jest ponownie potrzeba i rozwinięty plan szczegółowy zastąpienia żydowskich karczem, czystemi i uczciwemi gospodami. (Przyp. Red.)

wę, czy ma ona na celu „zniesienie“ propinacji lub jej „zachowanie?“ Ale nawet i w tak złagodzonej formie zatrzymania propinacji, niknie ona, gdyż jakkolwiek p. Krzeczunowicz bystro przewidział wszelkie ewentualności, ażeby o ile to jest możliwem jaknajmniej uronić z praw właścicieli propinacji, to rachował on, jak mi się zdaje, pod pewnym względem jednostronnie, mianowicie liczył się wyłącznie tylko z jednym czynnikiem, wchodzącym tu w grę: z szynkarzem i warunkami wyszynku, a zapomniał zwrócić uwagę i na drugi, nie mniej ważny czynnik, tj. *na te miljony ludzi, którzy pić mają propinacyjne trunki.*

Otóż stało się, czego nikt nie spodziewał się przed niewielu jeszcze laty: rozpajany przez żydów od kilkuset lat włościanin, teraz raptem odwracać się począł od wódki, *i nie chce pić wódki.*

I propinacja upada... Arendarze uciekają z karczem, i o ile wiem, nawet w dobrach samego p. Krzeczunowicza zdarzył się tego roku podobny wypadek w jednej z bardzo ludnych wsi podlwowskich w najfatalniejszej porze, bo przed samą Wielkanocą, kiedy zazwyczaj najwięcej wódki się sprzedawało.

Nie pomaga nawet tak rozrzewniający do wód „przychylności“ rządu dla naszego kraju, że żandarmom dano instrukcję, ażeby nie naprzykrzali się zbytecznie arendarzom wiejskim z przypominaniem im ustawy przeciwko pijaństwu, chłopstwo jak się zawzięło, tak ani rusz pić nie chce!

Zważywszy zaś, iż tenże sam rząd, chociaż tyle wyrozumiałości liberalnej okazuje w obec pijaków, z drugiej strony we wszystkich wypadkach spornych, które w drodze administracyjnej załatwiane bywają, zasadniczo staje zawsze po stronie przeciwników propinacji, biorąc zawsze w obronę koncesjonowanych szynkarzy przeciwko propinacyjnym z tytułu ich koncesji przemysłowych; zważywszy dalej, iż właściciele propinacji stoją teraz niemal bezbronni w obec potęgującego się w niesłychany sposób pokątnego szynkarstwa, które o tyle jest niebezpiecznem dla propinacyjnych szynkarzy, iż pokątny szynkarz może sprzedawać napoje o wiele taniej nie płacąc nic dziedzicowi za prawo szynkowania, potrzeba przyjść do przekonania, że *przez uchwalenie ustawy o wykupnie prawa propinacji t. z. kwestja propinacyjna bynajmniej załatwioną nie jest.*

Sądzę więc, iż nadszedł czas, czas ostatni, ażeby właściciele prawa propinacji szczerze i gorliwie zajęli się pytaniem, w jaki sposób, nie narażając się na straty materjalne mogliby uwolnić się od wspólnictwa z takiemi pijawkami, jakiemi są dla ludności kraju naszego żydowscy arendarze karczem, wspólnictwa, które plami ich cześć obywatelską i nieobliczone szkody przynosi nietylko im samym, ludowi biednemu, lecz w dalszem następstwie i całemu narodowi.

Jakżeż to zrobić?

Prawda, iż żyd płaci za propinację więcej niż ktokolwiekbądź inny płacić byłby w stanie, a to dlatego, iż dla żydowskiego arendarza sam wyszynk wódki ma tylko podrzędne znaczenie, a największe zyski ciągnie on z różnorodnych innych spekulacji jakie prowadzi, mając w karczmie strategiczną podstawę operacyjną. Kto zatem chciałby szukać chrześciańskich propinatorów w miejsce żydów, ten na każdy sposób nie zrobiłby korzystnego interesu. Podjęte gdzieniegdzie próby podobne nigdy nie udały się, i żydzi po krótkim przeciągu czasu powracali do karczem, do odwiecznego rzemiosła swojego.

Inaczej jednakże rzecz przedstawi się, jeźli przedsiębiorstwo utrzymywania gospod wiejskich zechcemy urządzić wedle tej samej metody, jak je urządzają żydzi, t. j. czyniąc je punktem centralnym ruchu towarzyskiego i handlowego pomiędzy włościanami, lecz w sposób uczciwy, obywatelskim duchem natchniony.

Dochód z samego tylko wyszynku trunków nie wynagrodzi, jak powiedziałem tego, ile żydzi dzisiaj zazwyczaj płacą za dzierżawę propinacji. Lecz zdaje mi się, że dochód z propinacji wyrównałby się, gdyby utrzymywano w nich sprzedaż tytoniu, tabaki, soli, a przedewszystkiem towarów sklepowych, włościanom potrzebnych, jak np. kawy, herbaty, cukru, pieprzu, nafty, świec, pieczywa z delikatniejszej mąki, cukierków, spinek do koszul, nici, igieł, wstążek i kwiatów do stroju dla dziewcząt itd. Wszystkie te towary mierzone i ważone rzetelnie, sprzedawane po cenach uczciwie odpowiadających ich gatunkowi, przynosiłyby dochód wcale pokaźny, jak to wiem dokładnie z kilku podobnych improwizowanych sklepików wiejskich.

Same zaś karczmy powinne utracić nawet zewnętrznie te cechy, jakie mają dotychczas, chociaż zresztą w tradycyjonalnem ich urządzeniu nie należy wielkich zmian robić. Głównie *schludnością* zewnętrznej tudzież *rzetelnością* w załatwianiu interesów niechaj różnią się zasadniczo zreformowane gospody wiejskie od dotychczasowych karczem.

Kardynalny warunek powodzenia proponowanej przezemnie reformy karczem, stanowi jednakże szczęśliwy dobór ludzi, którzy mieli pełnić obowiązki gospodników jakoteż trafne, obrachowanie pieniężne i ścisła kontrola.

(Brak miejsca nie dozwala nam obszerniejsze przytaczać szczegóły o projektowanej reformie z rozprawy p. Merunowicza. Otwieramy jednakże łamy pisma naszego dla krytyk i rozbiorów do tego przedmiotu odnoszących się. Przyp. Redakcji.)

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

(*Ciąg dalszy.*)

X.

W parę dni po odwiedzinach Narcyza i Gustawa, Rzewnicki nie chcąc się narażać na nowe wyrzuty baronowstwa, postanowił pójść do nich, choć mu to postanowienie okupić przychodziło największem poświęceniem, bo ofiarą wieczoru, który zamierzał przepędzić jak prawie codzień u Natalji — u Natalji od niejakiego czasu bardzo szczęśliwej i rozpromienionej i coraz bardziej uprzejmej dla niego.

— To śmieszne — mówił do siebie, myśląc o tej ofierze — ci baronowstwo tacy mi są wdzięczni za tę przysługę, słowo daję, niewartą wspomnienia, i nie wiedzą o tem, że mnie zmuszają żebym ze względu na ich wdzięczność, prawdziwe poświęcenie do swej przysługi dodawał.

Ubrał się jak mógł najstaranniej i przeszedł do „pałacu Pogromskich“. Nie mógł tego uczynić wcześniej jak o godzinie ósmej, było to bowiem w dzień powszedni.

L'heure était indue, dla nieproszonych, ale służba baronowstwa miała rozkaz przy mować go zawsze, choćby nawet nie wszyscy byli w domu.

Tym razem baronowstwo byli w teatrze, Narcyz bujał gdzieś po Warszawie, tylko piękna baronówna, której się do teatru pojechać nie chciało, sama znajdowała się w domu i przyjęła w salonie kuzynka, który spostrzegłszy się, że go oczekuje sam na sam, zmięszał się bardzo i byłby się pewno wycofał, gdyby się wycofać potrafił.

Dla baronówny to pomięszanie, które nie mogło ujść jej wzroku, miało wcale inne znaczenie, zapewne nie nieprzyjemne, bo uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Jednocześnie na jednej z dosyć odległych ulic odbywało się drugie *tête-à-tête*.

Rzewnicki dnia poprzedniego uznał za potrzebne ostrzedz niby nawiasowo Natalją, że nazajutrz przyjść nie będzie mógł do nich. Zdawało mu się widać, że oczekując go napróżno panna Balska, byłaby doznała bardzo nieprzyjemnego zawodu, tembardziej, że gdy jej o tem powiedział, odrzekła:

— Ah!... tak!...

W tem odezwaniu się, ucho Emila dosłyszało nadzwyczaj wiele posępności i byłby już zmienił postanowienie, gdyby poetka o czem innem mówić nie zaczęła i nie zmusiła go niejako do dotrzymania słowa. Czynił to *à contre-coeur*, ale znowu uznawał za niestosowne przychodzić kiedy zapowiedział że nie przyjdzie.

Z rana, a raczej koło południowej godziny, jak zwykle, przyszedł do pani Balskiej Gustaw. Natalja znalazła sposobność powiedzenia, że się będzie nudziła wieczór, bo się nikogo nie spodziewa.

Było to odezwanie się całkiem niewinne. Gustaw wziął je jednakże za przymówkę, za rodzaj wyznaczonego *rendez-vous*, wyraźnego żądania, żeby przyszedł wieczorem i nie myślał bynajmniej nie zastosować się do niego.

Pod dwoma tedy dachami odgrywały się dwie sceny w zupełnie różnym rodzaju.

— Myślałam, kto się też dzisiaj ulituje nad mojemi nudami — mówiła piękna Nina do Emila — i kilkanaście przypuszczeń mnie zwiodło... a sprawdziło się to, na które najmniej liczyć mogłam...

— I którego zapewne pani nie zrobiła wcale...

— Gdyby nawet tak było, nie powinienbyś pan mieć tego za złe, kuzynie... pokazujesz się tylko jak meteor, albo jak zmuszony; dziś pierwszy raz byłeś łaskaw przyjść z własnej woli... Ale jestem lepszą od pana, a przynajmniej taką dobrą jak pan, bom i na pana cokolwiek liczyła.

Emil ukłonem i jakiemś grzecznem słówkiem podziękował za pamięć.

— Teraz, kiedyś pan przyszedł... to mnie pan baw, panie Emilu.

Kuzynowi godziło się mówić po imieniu.

— Ah! prawda!... kuzynek jest poważny, bardzo poważny... no, to mi pan opowiadaj poważne rzeczy... i ja umiem być poważną kiedy potrzeba.

— Bez żalu i urazy do tego, kto panią skazuje na powagę.

— *C'est selon.* Rzeczy poważne mogą być miłe lub niemile.

— Zkądże będę wiedział, czy te, o których mówić zacznę, do jednych czy do drugich należą?...

— Powiem otwarcie. Jestem szczerość chodząca. Więc dalej... od czegóż zaczniemy?...

— Od polityki... — uśmiechnął się Rzewnicki — to rzecz najpoważniejsza.

— Bardzo proszę... *laissons cela de côté* mówić o polityce i w ogóle politykować ze mną zakazuję, panie kuzynie.

Znać było po tym porządku rozmowy, że między dwojgiem młodych kuzynków spólnego przedmiotu do rozmowy jeszcze nie było. Tak jednak nie sądziła baronówna. Wyłączając jeden po drugim rozmaite przedmioty, które jej proponował, tak jak wyłączyła politykę, miała ona na celu tylko przedłużenie i utrzymanie rozmowy, która inaczej mogłaby się urwać nagle i stanąć jak przekręcony zegarek, ale zręcznie i dowcipnie zostawiała Emilowi, coraz mniej pola, pragnąc go tym sposobem zmusić do poruszenia przedmiotu, na którego dotknięcie czekała.

Baronówna, tak samo jak hrabia Gustaw co do Natalji pewną była, że Emil był podbity jej wdziękami i rada, żeby się z tem zdradził. Czy to jedynie dlatego, że rozkochanie nieśmiałego i wychowanego po za wielkim światem kuzyna mogło być wcale przyjemną rozrywką, czy może czując instynktownie, że na miłość odpowiedziećby mogła wzajemnością, chciała poruszyć i zbadać serdeczną stronę Rzewnickiego.

Emil bronił się jak mógł. Zaczepił pól encyklopedji przedmiotów rozmowy salonowej — na wszystkie Nina znalazła dowcipny powód wyłączenia, aż nareszcie widząc, że inaczej czas tylko straci, otwarciej go zagadnęła:

— Po co szukać przedmiotów zadaleko?... mów pan o sobie...

— Ah! jak pani widzisz z tej rozmowy, byłby to najnudniejszy przedmiot.

— Niekoniecznie, byleś pan mówił szczerze... Wiem z doświadczenia, że takie spowiedzie bywają zajmujące... Narcyz mi się ze wszystkiego spowiada... znam historję jego serca na wylot... Kuzyn jest rodzajem brata, pan więc także mógłbyś się wyspowiadać... A więc dalej... księga pierwsza, rozdział pierwszy... Zakochałem się po raz pierwszy mając lat?...

— Dwa... — odrzekł Emil.

— Plagjat z jakiegoś krakowiaka — odrzekła baronówna — mnie takiemi rzeczami nie zbędziesz, panie kuzynie... a więc na serjo?...

— Oho!... czerwienisz się, kuzynie... złapałam... musiało to być nie tak dawno — szczebiotała Nina wesoło, z niemałem zadowoleniem wewnętrznem — zgadłam?...

— Może... — szepnął w szczerocie ducha Emil.

— No... to dosyć na dziś, kuzynie... to jedno może ma wiele znaczenia... Proszę na drugi raz, dobrze się ubielić puderkiem, żeby rumieńców znać nie było, wtedy będę słuchała reszty... A tymczasem zagram panu walczyka... kogóż pan wolisz?... Straussa czy Chopina?...

— Możnaż się pytać... pani?...

— Rozumiem... zatem Straussa

Podeszła żywo do fortepianu i za chwilę dźwięki jednego z najpiękniejszych walców Chopina wstrząsać zaczęły wonną atmosferę salonu

Baronówna nie była artystką, grała dość pospolicie.. tym razem jednak sama siebie przewyższyła.

Tak przynajmniej zdawało się Emilowi, który przyznawszy się pól słowem do swojej jednej i jedynej miłości, był w szczególnem usposobieniu do słuchania cudownych myśli smętnego mistrza, wybiegających z pod palców wzruszonego dziewczęcia

Baronówna była wzruszoną, tak wzruszoną że pod wpływem tego wzruszenia wlała w swoą muzykę więcej uczucia niż kiedykolwiek.

Powodu tych wzruszeń szukać należy w tej samej krainie złudzeń i pozorów, w której dotychczas wszystkie powody, wszystkie nici całej tej powieści się mieszczą.

Rumieniec Emila, jego nieśmiałe „może“, były dla Niny zwierzeniami, a zwierzały zupełnie co innego niż znaczyły.

Przerwała tak szybko rozmowę i do fortepianu odbiegła, żeby nie uslyszeć więcej od razu, nieprzygotowana.

Drobnemi manewrami zalotności próbowała dopiero podbić go i uczynić swym niewolnikiem, liczyła na to, że przez ten wieczór sam na sam z nim spędzony, pójdzie cokolwiek dalej w tym podboju, tymczasem Emil zagadnięty o stan serca, próżno chciał żarcikiem obronić się od wyznania, zdradził go rumieniec, a słówko „może“, wypowiedziało tajemnicę serca do reszty.

Biedny, nieotrzaskany ze światem, a przynajmniej z salonową stroną świata, nasz bohater uwierzył na słowo baronównie, że kuzynek jest rodzajem brata i byłby się z swej miłości wyspowiadał jak przed siostrą, gdyby mu Nina nagłem przerwaniem rozmowy nie przeszkodziła. Jakieby zrobił wrażenie, gdyby był wypowiedział wszystko, przewidzieć trudno, to jednak pewno, że niezbyt godne zazdrości.

Nie dopowiedział. Baronówna musiała wziąć do siebie jego wyznanie — inaczej, gdyby przypuszczała że był zdolny przyznać się przed nią, iż kocha inną, musiałaby go posądzać o zupełną nieznajomość życia i rozmawiania z kobietami, a przecież dając się wciągnąć do ich domu i bywając tam, dawał dowody że żyć z ludźmi i rozmawiać jako tako potrafi. Przytem, gdyby Nina mogła wpaść odrazu na domysł trafny co do rzeczywistego znaczenia wyznania Emila, musiałaby być zupełnie wolną od miłości własnej, której żaden z synów i żadna z córek Adama i Ewy nie jest pozbawioną zupełnie, a piękna baronówna posiadała podobno większą ilość niż z przecięcia na jedną osobę przypaśćby mogło.

To też, gdy Rzewnicki wysłuchawszy walca i podziękowawszy za niego bardzo serdecznie, pożegnał ją i wyszedł, baronówna zadumała się:

— O! nie wiedziałam... — mówiła sobie w duchu — to ogień... to wulkan... Onby gotów... A!... nie spodziewałam się tego po nim. W porównaniu z naszemi salonowcami... *ce sont toujurs ces natures sauvages qui ont le dessus!...* Zobaczę jak się znajdzie na drugi raz... a pewno znów niedługo przyjdzie.

W takich marzeniach baronówna doczekala się rodziców.

— Był tu pan Emil — rzekła do matki.

— A! namyślił się wreszcie — odpowiedziała baronowa — przyjęłaś go?

— *Cela se comprend...*

— *Ne vous á-t-il pas ennuyée trop?*

— *Lui?... oh! non, maman.*

Matka nic nie odpowiedziała, a baron Zygmunt wyraził swoje zdanie, jednem tylko tajemniczem:

— Bah!

U państwa Balskich sam na sam szło zupełnie inaczej.

Nie potrzeba było usiłowań ani jednej, ani drugiej strony, żeby wyłączyć z rozmowy obojętne przedmioty. Poezja była jej treścią, a na skrzydłach poezji zawitała niedługo miłość.

Przed pseudo-artystą i przed poetką leżał dwunasto-wierszowy utwór, który Gustaw przyniósł ze sobą i jako swój zaprezentował.

Nie było tam mowy o miłości, w poezji oddychał smutek, w każdym wierszu perliły się łzy. Tegoż dnia jeszcze hrabia rzeczywistemu autorowi tego utworu kupił trzy tuziny ostryg i trzy butelki szampana, po trzy ostrygi za rym każdy i po jednem puknięciu korka dodatkowo za zwrotkę, (któżby za takie honorarjum najperlistszemi rymówkami nie płakał!) Wiersz ten był przyrządzony bardzo misternie, a hrabia nauczony manipulacji jaką miał z nim odbyć, żeby nim trafić do serca Natalji.

—Jakież to piękne! — mówiła ledwie że nie płacząc poetka.

— A jednak pani, w tej chwili przychodzi mi mysl porobienia niektórych poprawek...

— Oh! nie psuj pan arcydzieła!...

— Może się nie zepsuje... patrz pani... pierwszy wiersz zaczyna się od *k*, drugi od *o*, gdyby w trzecim zamiast *nigdy* dać *czasem*, wszakby to nic nie popsuło?...

—To prawda— odrzekła Natalja, odczytując wiersz wskazany.

—W czwartym *h* na początku... dobrze... w piątym zamienimy *oby* na *aby*...

— Pocóż zamieniać taką drobnostkę?...

— Nic nie zaszkodzi... kilka następnych dobre... tutaj zamiast *mylnie* dam *błędnie...* w trzecim wierszu od końca...

— I to zupełnie niepotrzebna odmiana...

— A tu w ostatnim... zamiast *niebo,* niech będzie *Eden*, to brzmi poetyczniej...

— Ah! jakim pan jesteś poetą!...

Poprzemieniawszy w ten sposób pierwsze litery kilku wierszy, Gustaw oddał go Natalji.

— A teraz... chciej pani zobaczyć, czy te poprawki nie miały jakiego znaczenia i wydać wyrok, na który ze drżeniem oczekuje poezja.. i jej autor.

Podał Natalji papier wskazując na pierwsze litery każdego wiersza.

— Kocham ciebie!

Natalja spostrzegła i zadrżała.

Rumieniec szczęścia pokrył jej twarz, spuściła oczy, pochyliła się ku Gustawowi i szepnęła:

— Panie Gustawie!...

—A! jestem panem świata!... —zawołał

*

Gustaw i objąwszy rękami kibić Natalji, przysunął ją do siebie.

Zlekka, nieśmiało, spłoniona Natalja usunęła jego drżące ręce.

— Tak... kocham pana... — rzekła również cichym jak uprzednio głosem — to jest ja nie wiem... zdaje mi się...

— Kocham... Nataljo moja...! życie... wszystko tobie poświęcę!...

Wejście matki, jak szklanka zimnej wody wylana na głowę ochłodziło zapały hrabiego. Nie było widać jego zamiarem zwierzać się z nich zaraz przed matką.

Zręcznie zawiązał rozmowę o obojętnym przedmiocie, zabawił jeszcze parę chwil, a następnie pożegnał ukłonem matkę i złożywszy pocałunek na drżącej jeszcze rączce Natalji, wyszedł.

— Mamuniu moja... on mnie kocha — rzekła panna Balska do matki, w chwilę po wyjściu Gustawa.

— Nie pierwszy... — dość obojętnie odpowiedziała pani Balska, dla której rzeczywiście nie było nowiną, że się ktoś zakochał w jej jedynaczce.

— Tak... droga mamo... ale... on...

— Powiedział ci to?...

— Powiedział, mamo moja...

— I ty?...

— Mama się pyta?...

Pani Balska westchnęła.

— Artysta — szepnęła półgłosem do siebie — ciężki kawałek chleba... coś lepszego dla mej jedynaczki marzyłam... ale... wola Boża...

Natalja rzuciła się na szyję matce i popłakały się obiedwie.

Tego wieczoru nie obdarzyła piśmiennictwa żadnym nowym utworem, choć jej tysiące rymów po głowie tańczyło. Była zbyt szczęśliwą ażeby pisać.

A Gustaw, wyszedłszy na ulicy odetchnął z całych piersi, przeciągnął się jak po skończeniu jakiej nużącej pracy, i rzekł do siebie:

— *Voilà la première partie de mon roman terminée... tant mieux! mais il faut avouer que ce n'était pas la plus dificile!...*

XI.

Zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, właśnie gdy zaczynała bić dziesiąta, spostrzegł w niewielkiej odległości Rzewnickiego.

— Do djabła! — pomyślał otulając się paltotem i zwracając kroki w stronę przeciwną, w przekonaniu że dzięki ciemności wieczornej nie zostanie spostrzeżonym.

Emil go dostrzegł jednakże.

— Pan Borowski!... — zawołał dochodząc do niego — a! jakże mi przyjemnie, że pana spotykam.

— Dobry wieczór, dobry wieczór, panie Emilu — odpowiedział pokrywając niezadowolenie Gustaw — zkąd-że to?...

— Zkąd-że to?... — jednocześnie zapytał Emil.

I obaj zaczęli opowiadać w jednym czasie:

— Ja powracam...

— Ja powracałem...

Ten pośpiech w opowiadaniu był może przyczyną że się zająknęli obydwaj. Hrabia potrzebował zresztą namyśleć się przez chwilę czy dyplomatycznem będzie przyznawać się przed Rzewnickim od kogo wracał, Emil zaś spostrzegł się, że w powrocie od Pogromskich do domu droga nie mogła mu wypadać przez ulicę na której mieszkała Natalja.

Obaj sądzili, że ponieważ jednocześnie wspomnieli o powracaniu, jeden drugiego nie mógł słyszeć i obaj postanowili się poprawić.

Myślom ludzkim, trafia się czasem zupełnie tak samo jak ludziom. Spotykają się ze sobą na ciasnym chodniku i jeden chce się drugiemu usunąć ale właśnie dlatego, że obaj jednocześnie ten zamiar powzięli, usuwają się obaj w tej samej chwili to na prawo, to znów na lewo i wyminąć się nie potrafią, chyba że jednemu przyjdzie na myśl powiedzieć:

— Niechże pan wreszcie przejdzie, a ja będę stał.

Skutkiem podobnego zupełnie położenia obaj odpowiedzieli jednocześnie.

— Wyszedłem na przechadzkę...

— Chciałem się przejść...

— Ale teraz wracasz pan do domu? — zapytał Gustaw przyszedłszy nareszcie do głosu.

— Prosto do domu, panie Gustawie.

— I ja także... a spieszy mi się... zatem do przyjemnego zobaczenia panie Emilu.

— Do widzenia panie Gustawie.

Zawrócili obydwaj, pożegnawszy się uściśnieniem pospiesznem ręki i poszli w strony wprost przeciwne kierunkom w jakich szli poprzednio.

Hrabia nie zwrócił uwagi na to, że mówiąc Emilowi iż idzie do domu a skręcając w stronę przeciwną, mógł mu wiele dać do myślenia, Emil nie uważał że utrzymując iż idzie do domu wyraźnie mówił rzecz nieprawdopodobną, bo dopiero teraz w stronę swojego mieszkania zawrócił. W takich razach przypadkowej czy umyślnej nieostrożności nikt nie zwraca uwagi na to, że drugiemu daje powód do podejrzewania siebie, bo każdy skorszy do posądzenia drugiego, niż do zarzucenia czegoś sobie samemu.

To też zaledwie się rozeszli o kilkanaście kroków Emilowi przyszło na myśl:

— W tem coś jest jednak.. on skłamał...

A hrabia szepnął do siebie:

— *Il a menti... ce drôle...*

I obaj pracowali umysłem pragnąc odgadnąć przyczynę wzajemnego kłamstwa.

— Gdyby był u Balskich — rozumował w duchu Emil — toby mi o tem powiedział... Czemużby się miał taić!... wszakże go sam tam wprowadziłem... Więc nie był. A jeżeli nie był, to cóż tu robi na tej ulicy, o tej godzinie?.. Coś nieczystego kiedy się z tem tai i kłamie przedemną, ale co?..

Przystanął na ulicy i dumać zaczął.

Hrabia medytował podobnież:

— Kawaler kupczyk jedno z dwojga: albo mnie szpieguje, albo...

Nie wiedzieć czemu nie zatrzymał się przy pierwszej myśli, gryzło go tylko owo „albo“, które łatwo zgadnie czytelnik, jeżeli sobie przypomnieć zechce, że tytułowany demokrata nie miał wyobrażenia o tem, że można mieć jakąś sielankową przyjemność w spacerowaniu nocą pod oknami ukochanej, bez żadnych dalszych widoków.

Obejrzał się i zobaczył w oddali stojącego Emila.

— Oho!... wyraźnie czeka, żebym sobie poszedł...

Emil w tej chwili dostrzegł jego zatrzymanie się

— Oczywiście czatuje aż odejdę... pod samym jej oknem... co to znaczy?..

Hrabia bardzo prędko wytłumaczył to sobie:

— *Dame!* — rzekł przez zęby, z tłumionym gniewem — *le garçon épicier voudrait me faire une surprise avant que je... commence...*

Podejrzenia chodzą tak jednakowemi drogami, że i Emilowi przyszła myśl podobna, w sposób jednakże nie ubliżający Natalji.

— A! — mówił do siebie — pan artysta ma, jak się pokazuje, nietylko artystyczne zamiary... Zamaskował się przedemną swoją sztuką, żebym się niczego nie domyślił... ale zakochał się naprawdę... i chce romans prowadzić podług włoskiej mody. Kształcił się w Rzymie, jak powiada, więc się tam takich manier nauczył. Wyraźnie uplanował sobie jakąś eskaladę, czy jak się to nazywa, i gotów ją obrazić śmiertelnie, myśląc że się znajdzie jak włoszka... Oho! czekaj paniczu, czy na to pozwolę.

Usunął się na stronę, tak że go Gustaw widzieć nie mógł, i obserwował. Hrabia opodal skryty podobnież, ale w miejscu, które zdaleka dostrzegł Emil, odbywał taką samą placówkę.

Zostawali w takich pozycjach przez pół godziny lub dłużej, i byliby pozostali niewiedzieć jak długo.

— *A-t il assez de patience!* — wściekał się hrabia.

— Domyślił się, że czatuje i chce mnie przeczekać — myślał Rzewnicki — oho! hola paniczu zostanę tu choćby do rana.

Znużonemu niezmiernie oczekiwaniem Gustawowi przytrafiło się wreszcie coś, co zakończyło tę podwójną wartę.

Zjawił się na ulicy nowy przechodzień, wzrostem i ubraniem podobny do Emila. Gustaw dostrzegł go dopiero gdy przechodził koło kryjówki Emila, i wziął go za Rzewnickiego.

— Nareszcie kupczyk stanowisko opuszcza...

Pozwolił przejść nieznajomemu, a gdy ten był już dość daleko, puścił się za nim ostrożnie.

Przypadek chciał, że ów przechodzień szedł w stronę, w której mieszkał Rzewnicki, hrabia obserwował go zdaleka dość długo, aż nareszcie gdy już byli dosyć daleko od mieszkania pani Balskiej, skręcił do siebie, myśląc:

— Spłoszyłem kupczyka.

Kupczyk tymczasem widział, że Gustaw opuszcza swoje stanowisko i w podobny sposób szedł za nim zdaleka, aż gdy nareszcie ujrzał, że mniemany malarz wchodzi do domu, zawrócił do siebie z najmocniejszem przekonaniem, iż wypłatał figla artyście.

Zajście to było początkiem wojny między dwoma świeżo zaprzyjaźnionymi. Obaj sądzili, że nie wypada się z tem zdradzać, iż każdy z nich widział strategję przeciwnika i odgadł, że jest jego rywalem, chociaż obaj wiedzieli, że przeciwnik nie widzieć i nie zgadnąć tego nie mógł. Przyjaźń ich dotąd oparta na pozorach, odtąd stać się już miała zupełnie udaną.

Nazajutrz w zwykłej przedpołudniowej godzinie Gustaw pospieszył do Natalji. Pilno mu było rozpocząć drugą część swego romansu, trudniejszą jak to sam przyznawał, lecz pilniej pozbyć się Emila. Jedną z cech jego charakteru była zazdrość o kochanki, zazdrość objawiająca się jedynie w pierwszych chwilach miłosnego stosunku, a potem, gdy namiętność nasycona nie była już do niej zdolną, odgrywana doskonale, jeżeli mogła posłużyć do zerwania związków, które już ciężarem się stawały. Dlatego dziwić się nie można, że zazdrości dał przed „drugą częścią" pierwszeństwo.

Nie trudno mu było o rozmowę z Natalją na osobności. Pani Balska po wczorajszem wyznaniu córki miała go już za zięcia i nie uważała za stosowne przeszkadzać młodym się kochać, chociaż ta miłość zawodziła w znacznej części jej świetne co do jedynaczki widoki

Gdy więc zostali sami, Gustaw, odegrawszy znowu scenę miłosną, wyznał jej że jest zazdrosny.

— A!... to brzydkie uczucie — odrzekła Natalja — ja panu nie dam do tego powodu, mój drogi panie Gustawie.

—Ty nie, Nataljo... ale inni... ale ludzie... ale mężczyzni..

— Któż taki ?...

— Naprzykład... *pan* Emil...

— A!... pański dobry przyjaciel... nasz znajomy dość dawny... winnam mu wiele... on pana tutaj przyprowadził...

—I ja mu za to winienem wdzięczność.. ale miłość powinna być niewdzięczną... jak Austrja... Proszę cię, błagam, najdroższa Nataljo... niech tu nie bywa...

— Kiedy pan chcesz tego... i owszem.

Gustawowi zdawało się, że Natalja te słowa wymawiała z żalem..

— Pani! — zawołał — nie dręcz mnie...

— Czem?.. nie pojmuję...

— Nataljo! wyznaj! westchnęłaś!..

— Ah! jakiś podejrzliwy, Gustawie.. fe! wstydź się... gdzież ten zimny człowiek, chodząca proza..

— Kupczyk — wtrącił hrabia.

— Gdzież on się może mierzyć z tobą, z którego oczu tyle natchnień błyska...

— Więc nie będzie tu bywał?...

— Nie będzie

— Oh! dzięki ci Nataljo! — z zapałem zawołał Gustaw, przyciskając znowu do ust jej rączkę, która z lekka ale wyraźnie ściskała miękką dłoń jego

Po odejściu Gustawa Natalja słówko tylko szepnąć potrzebowała matce i wyrok na Emila został wydany i konfirmowany.

Nieszczęśliwy kochanek zbyt prędko przyszedł go wysłuchać.

Hrabia zbyt był zręcznym, żeby nie zastrzegł sobie, że odproszenie Emila odbędzie się bez otwartego wyznania lub dania mu do zrozumienia, że to on przed nim drzwi domu Natalji zamyka To też kiedy Rzewnicki, oderwawszy się na chwilę od swych obowiązków aby odwiedzić kochankę, którą, jak mniemał, ocalił dnia poprzedniego od nieprzyjemności, przyszedł do pani Balskiej, bynajmniej nie wspominano o żądaniu Gustawa i wszystko co mu powiedziano, wychodziło z incjatywy matki.

A pierwsze słowa, które od niej usłyszał, były już dlań całym piorunem.

— Mamy panu zakomunikować ważną nowinę — rzekła pani Balska — Nacia wychodzi za mąż

Emil zbladł i zachwiał się na nogach.

— Winszuję — szepnął ostatkiem heroizmu

— I nie pytasz się pan za kogo?... mówiła dalej matka, nie dostrzegając widać jego wzruszenia

Biedny chłopiec nie miał siły wymówić tego pytania

— Zgadnij pan... — dręczyła go mimowiednie matka kochanki.

— Nie wiem... pani...

— No.. któż tu u nas najniedawniej bywa?...

— Borowski! — jęknął z rozpoczą.

— A widzisz pan, że zgadłeś.

Rzewnicki potarł ręką czoło, chcąc z pod niego myśl jakąś wydobyć, czy też pragnąc się obudzić z tego co mu się wydawało snem okropnym

— Niepodobna — rzekł słabym głosem. — tydzień ledwie.. jak bywa...

— Już są z Natalcią po słowie...

— Winsz...

Druga połowa wyrazu uwięzła mu w gardle.

Natalja była obecną tej rozmowie i słuchała jej bez wzruszenia. Niech jej za to nikt jednak nie pomawia o brak współczucia. W każdym innym razie byłaby z pewnością spostrzegła boleść Emila i byłaby uczuła litość dla tej boleści. Teraz to dla niej było niepodobnem, bo była przepełniona najwyższem szczęściem. Szczęście takie absorbuje człowieka i czyni go egoistą.

—Cóż pan sądzisz o moim wyborze?— rzekła wesoło do ledwie panującego nad sobą wzgardzonego kochanka.

To zapytanie, ten cios nowy, straszliwszy od poprzednich, przeważyło szalę boleści i nagle oprzytomniło Emila.

— A!... pochwalam.. pochwalam najserdeczniej — odrzekł gorączkowo — bądź pani za nim tak szczęśliwą jak ja ci życzę..

— W części za to szczęście i panu wdzięczną być powinnam.

Ogłuszony, niewiedzący co robi Emil porwał jej rękę i podniósł ją do ust

Dwie łzy stłumionej dotąd całem wysileniem boleści upadły na tę rączkę gorącem piętnem wyrzutu

Natalja wyrwała rękę, wybiegła do drugiego pokoju, i dopiero wtedy zaczęła być tem dla Emila czemby była od razu, gdyby jej nie upoiło szczęście. Uczuła dlań współczucie, żałowała go, bolała nad nim, przypomniały jej się zapewne dzieje zaznajomienia się z nim, chwile rozkosznie przemarzone w przekonaniu, że on jest poetą, owo wreszcie dziwnie przyjemne i przejmujące wrażenie, jakiego doznała widząc go po raz pierwszy w domu swej matki, chociaż wiedziała już naówczas, że był tylko kupczykiem.

W sercu Natalji były zarody prawdziwej dla Emila miłości, ale to serce było źle urządzonym ogrodem, w którym rozwijające się płonki głębokich uczuć, zagłuszały wybujale krzewy wyobraźni. Żal jej było człowieka, który na wieść o jej szczęściu silił się na udanie radości, choć płakał palącemi łzami, że tego szczęścia nie mogła przyjąć od niego. Westchnęła nad nim raz i drugi, to jednak nie przeszkodziło jej zupełnie, jak tylko usłyszała iż Emil wychodził pójść do matki i spytać się czy życzenie Gustawa zostało spełnionem.

— Cóż mamo? — spytała wchodząc.

— Nie przyjdzie więcej — odpowiedziała matka.

— Jakże mu to mama powiedziała? — z westchnieniem dopytywała się Natalja.

— Nie było nic trudnego, bo płakał. Tym sposobem jakby wyraźnie przyznawał się, że cię kocha. Wzięłam go za te łzy jak za słówko. Przyznał się. Dałam mu do zrozumienia, że w takim stanie serca jedynem lekarstwem jest niebywanie i przystał na to gorzkie lekarstwo.

— A! mamo, jabym nie miała siły tak go...

— Żal ci go trochę, Naciu — przerwała matka — no, ale to przejdzie... zapomnisz... lepiej się stać nie mogło.. po co ma się dręczyć?... Nie bądź że smutną z tego powodu, bo mogłoby się coś przywidzieć twemu artyście.

— Mnie smutno, mamo, że dla miłości, muszę zrywać zupełnie z człowiekiem, dla którego czułam tylko przyjaźń...

— Tak, ale on czuł więcej i dlatego zerwanie było koniecznem.. Wiesz, Natalciu, ty masz szczęście... i kto wie czyś nie pośpieszyła za bardzo... nie długo byś czekała i znalazłby się ktoś, co...

Córka podbiegła do matki i pocałunkiem zamknęła jej usta.

— O! mamuniu, niech mamunia tego nie mówi... ja kocham pana Gustawa...

— Nie taka to miłość, jak ci się zdaje, kiedy cię serce boli za Rzewnickim...

— Ah! mamo; bo płakać będę.

—No... jak chcesz... już nic nie mówię.

Nic ta odpowiedź nie pomogła, Natalja z płaczem odeszła.

Były to pierwsze łzy, jakie jej wycisnęła miłość artysty. (C. d. n.)

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

IV.

W każdej jednostce znajduje się jakakolwiek wyłączna, jej tylko właściwa strona życia. Ją też trzebaby zawsze podnieść w każdym rysie biograficznym. Jeżeli śród ogromnej liczby pism wydanych (a nie ręczę za to, bym którego nie opuścił w wyliczeniu), widzimy Chodźkę jako zbieracza wiadomości o rzeczach polskich i ogromnej pamięci dat i drobnych szczegółów pracownika, to znowu w życiu dostrzeżemy, że się tak wyrażę, wyzyskanie tego popędu do zbierania wszelkich rzeczy na korzyść narodu.

Tyloletnie stosunki z księgarzami i dziennikarzami jeżeli z jednej strony pozwalały mu mieć samodzielne utrzymanie i nie czepiać się kieszeni bogaczów; to znowuż dawały jak największą zre-

czność nabywania dzieł różnych w tani sposób. To też nie ma sądzę ani jednego dzieła wyszłego we francuskiej mowie, mówiącego cośkolwiek o Polsce, którego by nie posiadał Chodźko. Przypadek chyba był na przeszkodzie pozyskaniu jego, lub też wymknięcie się przed pilnem okiem badacza.

Zbiór to jedyny w swoim rodzaju. Kto inny nic podobnego nie posiada, a dziś już nie byłby w stanie zebrać podobnego zbioru. Oprócz tego Chodźko posiadał jeszcze ogromne zbiory pism emigracyjnych lub wydawanych przez emigrację. On pisma te brał w miarę tego jak wychodziły, układał, porządkował, bez troski o to kto pisał, co pisał, jakie idee one popierały, czy były rozumne lub głupie. Jeżeli treść odpowiadała jego usposobieniom i dostarczała materjałów dla jego prac, robił z niej użytek. W przeciwnym razie umieszczał na półkach i doglądał, by mole nie zjadły.

Broszurki te, niejednokrotnie nie przenoszące nawet arkusza druku, czasem daleko mniejsze, są nader ciekawe. W nich jest to wszystko co tylko może dać wolność słowa udzielona ludziom wyszłym z pod bata i przemocy. W nich jest wielka głębokość myśli politycznych i społecznych i genialność nieraz przebijająca się przez chmury mistyczne, a obok tego niejednoktotne targania się na wszelkie bogi i świętości słusznie lub błędnie stawiane na ołtarzu. Tu w obec myśli, w obec bezkarności zupełnej słowa, bo trybunały cudzoziemskie prawie nigdy nie wdawały się w sprawy prasowe polskie, powstawała ta pewna zacność i uszanowanie godności człowieka, co tak cechowała publiczne czynności towarzystwa demokratycznego, i z drugiej strony brak wszelkiago autorytetu. Tam Ibus Ostrowski miotał pianą bezwstydnych kłamstw na Mierosławskiego gdy nadchodziło powstanie ku zabawie szlachty, tam ten-że Ibuś walczył z potęgami arystokracji jak Czartoryskim i zadawał razy śmiertelne królom *de facto*.

Nie znającym wolności bezwzględnej słowa, nie posiadającym pojęcia zacnej walki na polu politycznem i odpowiedzialności za najmniejszą rzecz, te zapasy wydają się czemś potwornem, miotaniem się bezsilnem konających z pianą na ustach psów wściekłych itp. Chociaż były to objawy najszczytniej zrozumianej godności człowieka i moralnej odpowiedzialności nawet za błędy i małe przewinienia; była to opinja, co odrzuconych od łona ojczyzny własnej utrzymała na wysokości ogromnej zacności prywatnej i często nieposzlakowanej cnoty obywatelskiej.

Cały tok piękny tych zapasów emigracyjnych, kruszących bałwany gliniane i zabytki ciemnoty naszej wieków przeszłych, był wielkim prądem cywilizacyjnym, który popchnął nasze społeczeństwo na nowe drogi. Tem tylko można objaśnić dla czego my, obcy ludziom epoki wielkiej emigracji, tak z upojeniem jakiemś i jakby nową werwą wchodzimy w labirynt tych broszurek przedstawiających najróżniejsze pobudki, dążenia i ścierania się przekonań najdziwaczniejszych; badamy te psychologiczne zjawiska natury polskiej co porodziły towianizm, co mistycyzmem zaraziły Mickiewicza, Goszczyńskiego, Zaleskiego, Słowackiego i innych naszych wielkich ludzi; zgłębiamy te chwile porodu tak później wiele ważącego na szali dziejowej Demokratycznego towarzystwa, lub komiczno-donkiszockich strojeń się koronami papierowemi Adamów I, królów *de facto* i mrzonek Praniewicza.

W pisemkach tych przegląda cała dusza polska przechodząca przez czyściec odrodzenia i cała, nietamowana niczem mozajka walki moralnej z despotyzmem zaborców, z obojętnością zachodu i niezrozumieniem własnych naszych spraw i korzyści. Cały ten obraz najzupełniejszy przedstawia się w księgozbiorze Chodźki. Jest to cenny materjał dla historyka i psychologa. Tam można odszukać prace nieraz najszacowniejsze naszych największych ludzi epoki, tych tytanów, jakich wyrzuciło na emigrację powstanie 31 roku; te traktaty gruntownie obmyślane o polityce, a tak nam potrzebne. Słowem, że zawdzięczając temu dziwnemu usposobieniu Chodźki do zbierania różnych rzeczy ojczystych, znalazł się choć jeden zbiór dziś tak rzadkich pism.

Przy największej nawet wolności druku, pewne zjawiska zawsze pozostaną tajemnicą lub nie będą dostatecznie wyjaśnione. Nie każdy zechce wyjść na jaw przed opinję publiczną i nie każdy ma dość cywilnej odwagi wypowiedzieć jawnie swój sąd o wypadkach bliżej mu znanych. Ale w prywatnych listach do blizkich sobie osób odbywają się zupełne spowiedzie ze wszystkich postępków lub wypowiadają najskrytsze tajniki. Listy te odmalowują całą grę wewnętrznych usposobień i pobudek i wykazują jak często wielkie rzeczy są następstwem marnych pobudek lub nędznych chuci, a odwrotnie nikczemności nieraz popełniają się z najczystszem sumieniem i bez zastanowienia wskutek głupoty lub lekkości. Dlatego to u wielu zjawia się dążność zbierania różnych prywatnych listów ludzi myślących. Przy swej naturze zbierania, Chodźko wcześnie gromadził wszelkie listy lub ich odpisy. Nie szło mu o autentyki ile raczej o wierne ich odpisy. Chwytał więc wszystko co mu wpadało pod rękę, jeżeli to miało związek ze sprawami publicznemi. Pisali cośkolwiek przeciwko niemu i jego przyjaciołom, lub w obronie ich osobistych wrogów, było mu również pożądanem do zbiorow, jak i obrona jego własnej osoby. Wszelkie uzyskane protokoły jakiego towarzystwa, z jakich narad sprawozdanie, listy poufne i t. d. były przepisywane na czysto na papierach pewnych rozmiarów z zachowaniem pisowni itd., ze ścisłością bibljograficzną i wedle dat ułożone w oprawnych tekach jego zbiorów, nader starannie utrzymywanych. To też zebrało się sto kilkadziesiąt tek. Zda się nie było anij jednej wybitniejszej osoby śród emigracji, którejby nie posiadał listów Chodźko. Ogólnie przeszło trzydzieści tysięcy nieznanych dokumentów zebrał.

Będąc założycielem i członkiem komitetu franco-polskiego, mając do czynienia z emigracją potrzebującą wsparcia, nieraz miał styczność z ludźmi najrozmaitszych stosunków i ci mu dostarczali tych materjałów. Nieraz przyjaciele wiedząc o jego namiętności wykopywali mu gdzieś nieznane listy.

W celu uporządkowania tych zbiorów i objaśnienia stosunków, Chodźko układał tablice emigracji. Każde nazwisko emigranta, jakie doszło jego wiadomości, zapisane zostało. Zarówno też i imiona powieszonych lub rozstrzelanych w powstaniu. Wedle abecadła ułożone te kartki, dają możność odszukać od razu ważniejsze szczegóły dotyczącej osoby.

Tak samo każda osoba mająca z nim jakikolwiek stosunek ma odrębny karton w zbiorach w porządku alfabetycznym. Podobneż kartki stanowią zbiór bibljograficzny dotyczący dzieł obchodzących Polskę pod jakimkolwiek względem historycznym, wojennym, naukowym itp. Zwiedzający polskie bibljoteki świadczą, że nie ma ani jednej odznaczającej się podobnym porządkiem i układem każdemu dostępnym. Praktyczność ułożenia jak największa.

Część tej manipulacji Chodźko obmyślił sam albo też wziął z bibljotek największych francuskich, w których różne obowiązki pełnił od czasów ministra oświecenia *Salwandi*'ego przy Ludwiku Filipie. Od 1845 roku Chodźko spełniał obowiązki urzędnika bibljotecznego przy wszechnicy Paryskiej tj. w Sorbonnie, pod-bibljotekarza w księgozbiorze Świętej Genowefy, jednym z większych w Paryżu i nareszcie bibljotekarza w ministerjum oświaty.

Nadmieniając o tych zbiorach tak wielkich i tak cennych jako materjały historyczne do życia porozbiorowego naszego narodu, mimowolnie nasuwa się pytanie, czy z tych zbiorów będzie dla narodu korzyść? Dotąd prywatny człowiek ze szczupłemi materjalnymi zapasami już wiele dokonał nagromadziwszy olbrzymie te zbiory. Od prywatnych oczekiwać więcej nie można. Ufundować zaś rodzaj publicznej bibljoteki było nad jego siły. Zresztą kto uszanuje po śmierci starca więcej niż pół wiekową jego pracę? Rękopisy Żeligowskiego Edwarda popaliła ręka pseudo-przyjaciela, co niby mu rzuciła piasku na zgasłe zwłoki, Bronisława Z. Ogólna opinja wychodźtwa głosi, że również przy skonaniu Lelewela ręka Eustachego J. nie wahała się spalić wiele rzeczy ze świętych zbiorów i notat jego. Czy i te Chodźki zbiory napotka los podobny, że ktoś nie umiejący uczcić jego zasług i ocenić wartości nabytków targnie się świętokracko na nie, by zatrzeć pamięć niejednego niecnego czynu?

Taki Omaryzm na nasz wiek, byłby grzechem wołającym o pomstę do nieba, gdyby trwał dalej. Chodźko potomstwa nie ma. Jeżeli nie ma komu nabyć te skarby, to niechże je przytuli przynajmniej jaki zakład publiczny, gdzie możnaby swobodnie, niezawiśle od humorów prezesów honorowych korzystać z nich, gdzieby pracownicy nie musieli od drzwi odchodzić z powodu wyjazdu do wód kuratorów.*) (C. d. n.)

O NIEWIDZIALNYCH NIEPRZYJACIOŁACH
ISTOT ORGANICZNYCH

napisał

PROF. KAROL GUTKOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Z tego, co się dotąd powiedziało, łatwo wyprowadzić wniosek, że niektóre słabości zaraźliwe szerzą się za pośrednictwem mikroskopijnych grzybów pasożytnych. Szerzenie się tosłabości zaraźliwych ułatwia wielka — prawie bajeczna — ilość wytwarzających się zarodników i nadzwyczajna ich lekkość. Ztąd łatwo wytłumaczyć, dlaczego obficie zapełniają powietrze i wszędzie za pomocą wiatru dostać się mogą. Nasze gospodynie wiedzą dobrze, ile to czerwonego pyłu wytwarza się codziennie w domu, w którym gości grzyb zwany *Merulius vastator Tode*. Czerwonym pyłkiem są zarodniki tego grzyba. Ponieważ znaczna część zarodników z powodu braku dogodnych dla rozwoju warunków ginie, przeto przyroda w ten sposób zabezpieczyć je chciała od możebnej zagłady. Uwzględniając ich działanie zabójcze na istoty orga-

*) Co się stało ze zbiorami Chodźki, pomimo iż dziesięć lat upływa od jego śmierci, nie wiadomo. Przyp. Red.

niczne, pominąć również nie można i skutków tegoż działania.

Co do ostatnich, te dla organizmów są niemałego znaczenia, a bardzo często kończą się ich zupełnem zniszczeniem, śmiercią. Co do pierwszego zaś grzybnia wielu pasożytów, służy jako narzędzie, którego głównem zadaniem jest czerpanie soków z rośliny żywicielki. Niektóre z nich, jako pasożyty zewnętrzne, osadzają się tylko na powierzchni roślin, gdy tymczasem o wiele liczniejsze i zgubniejsze wewnętrzne wnikają w ich tkankę miękiszową. W wielu bardzo wypadkach tkanina roślin niknie z powodu ciągłego rozrostu grzybków, gdzieindziej znowu grzybek powoduje częściowe obumieranie komórek, tracą one soki odżywcze, zieleń a zarażona niemi część roślinna blednieje, wreszcie i błona komórkowa przybiera barwę brunatną i ginie np. u zarazy kartoflowej. To znowu dotknięte grzybkami organa roślinne przybierają skutkiem obfitego przypływu soków znaczne rozmiary a niekiedy dziwaczne kształty, np. u zarazy kukurydzowej. Rzecz jasna, że te tak dziwacznie ukształtowane narzędzia nie mogą w prawidłowy sposób załatwiać funkcji żywotnych. Skutki zatem działania grzybów pasożytnych okazują się we wszystkich wypadkach jako zupełne lub miejscowe zboczenia od prawidłowego wykonywania czynności fizjologicznych, a w dalszem następstwie sprowadzają znaczne i niepowetowane u roślin hodowanych, klęski ekonomiczne.

Celem zapobieżenia szerzenia się nadmienionych szkodliwych istotom organicznym pasożytów przedsiębrać należy to wszystko, czem wygubienie zarodników, zmniejszenie się ich zdolności kiełkowania i powstrzymanie rozwoju i rozrodu osięgnąć można. Nie wszystkie atoli te środki zawisły od woli człowieka, albowiem i on sam zostaje pod wpływem i mocą zewnętrznych działaczy, i pod jurysdykcją nieubłaganych praw przyrody. Wilgotne powietrze sprzyja w wysokim stopniu kiełkowaniu zarodników, wnikaniu ich w tkaninę roślinną i owocowaniu. Z tego powodu choroby roślinne pojawiają się najczęściej w wilgotnej okolicy i porze, a niekiedy przybierają rozmiary epidemiczne, jakto mieliśmy przykład na zarazie kartoflowej, która w r. 1845 znaczną część Europy nawiedziła.

Skutki działania grzybów pasożytnych na organizm zwierzęcy, są mniej więcej te same, co u roślin. Grzybnia wnika i rozwija się w ciele zwierząt, nitkowate jej komórki pochłaniają ich soki, skutkiem czego częściowo obumierają a następnie giną. Częstokroć zarodniki kiełkują na powierzchni ciała zwierzęcia-żywiciela, a pęcherzyki zarodowe wnikając w ciało jego gałęzią się między włókienkami mięśniowemi i drobinami tłuszczu, wreszcie grzybnia rozpościera się coraz bardziej, i przyprawia swego żywiciela o śmierć.

Z pasożytów grzybowych żyjących na zwierzętach wyższego ustroju poznano dokładniej te, które ciało człowieka obierają sobie za mieszkanie. Tak okazują się na skórze w pochewce i przewodzie włosów. Lecz i wewnętrzne narzędzia pozostające w związku z powietrzem atmosferycznem, jako to błona śluzowa powlekająca jamę ust, nosa, gardzieli, tchawicy i przewodu pokarmowego nie są wolne od tych pasożytów, a nawet znajdywano je we krwi chorych ludzi i zwierząt, w mózgu, wątrobie, nerkach i t. d. niemniej osadzają się na częściach stałych ciała ludzkiego jako to kościach i zębach.

W Egipcie i Hiszpanji często trzeba szczególnie żołnierzom sztucznie rozcinać gardło dla oswobodzenia krtani od nagromadzonych w niej tłumnie nieproszonych gości.

Poznawszy tak w ogólności znaczenie i sposoby badania niewidomych nieprzyjaciół, istot organicznych w powietrzu, przejdźmy do szczegółowego określenia niektórych wybitniejszych tychże postaci z uwzględnieniem wywoływanych przez nich objawów chorobliwych. *Śniecie* łatwo poznać i odróżnić od innych grzybków po ciemnym pyłku zarodnikowym. Największą ich liczbę napotykamy na roślinach jawnokwiatowych a w szczególności na jednolistniowych, np. trawach.

Każdy gatunek wytwarza swe zarodniki w pewnym organie roślinnym: niektóre z nich opadają kwiat, lub pewne jego części, jak np. zawiązek, inne znowu powstają na zielnych częściach jako to łodygach, liściach a nawet korzeniach. Choroba przez śniecie wywołana zowie się również śniecią. Już Pliniusz wspomina o niej i przypisuje przyczynę jej powstania niekorzystnym warunkom meteorologicznym i glebie. Mniemanie to utrzymywało się przez długi czas i gdy w r. 1801 Persoon zaliczył śniecie do grzybów, powstała u wielu ówczesnych botaników wielka pod tym względem wątpliwość. I dopiero znakomite badania de Baryego, Hoffmanna, a w r. 1873 Wolffa wyświeciły, że śniecie są pasożytnymi grzybami.

O ile dotąd poznano historją rozwoju tych pasożytów, przekonano się, że śniecie opadają najczęściej rośliny zbożowe wnet po ich zejściu, zapuszczają w nie pęcherzyki zarodowe a wraz ze wzrostem rośliny rozwija się ich grzybnia i dostaje do łodygi i liści. Środki zaradcze zwrócone być winny szczególnie przeciw samym zarodkom.

Według wykonanych przez Hoffmana w tym celu doświadczeń, największa zdolność kiełkowania jest u nich w pierwszym roku po odbytem owocowaniu. Zachowują ją jednak nawet po upływie 3 lat. Już w czasie żniwa wiele z nich dostaje się na rolę a ziarna zbożowe i słoma przechowują na swej powierzchni znaczną ich ilość. Najlepszym środkiem do wygubienia zarodników okazało się bajcowanie ziarn na zasiew przeznaczonych witrjolem miedzi. Śniecie okazują się najpospoliciej na kłosach pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa, kukurydzy, prosa i innych roślin trawowych *Śnieć czyli głównia zbożowa* (Ustilago carbo Tul.) pojawia się w postaci czarnego proszku na kłosach pszenicy, jęczmienia, owsa i kilku innych traw. Zarażone tym grzybkiem kłoski zamknięte są zrazu ciemniutkiemi błonkami plew, które później skutkiem rozrostu grzybka pękają i kuliste zarodniki uwalniają. Niekiedy zajmuje grzybek tylko dolne kłoski, to znowu rozpościera się po całym kłosie; tak, że po wypadnięciu zarodników tylko osadka kłosa pozostaje.

Jakkolwiek wspomniany grzybek zmniejsza wydatność zboża, to mimo to nie zrządza on takich szkód, jak pokrewny z nim grzybek zwany *śniecią pszeniczną*. (Tilletia cories Tul). Nawiedza on bardzo często kłosy pszenicy. Wewnątrz niedojrzałych ziarn tworzy czarniawobrunatny cuchnący pyłek, kłosy dojrzewają powoli a plewy kłosków zarażonych odstają bardziej niż zdrowych. Same ziarna, które na pierwszy rzut oka trudno od zdrowych odróżnić, bo grzybek kryje się wewnątrz, są lekkie, a po ich rozmiażdżeniu wypadają liczne zarodniki. Mąka z pszenicy, w której się obficie znajduje ów grzybek, przybiera barwę ciemną i woń nieprzyjemną.

Na liściach, źdźbłach, plewkach roślin zbożowych, tudzież liściach i łodygach wielu drzew i krzewów spostrzegamy częstokroć pyłkowate plamki, kreski barwy żółtawej, rdzawo czerwono i ciemnobrunatnej. Rozetnijmy tę plamkę a znajdziemy pod nią gromadkę poplątanych niteczek grzybniowych, same zaś plamki są zarodnikami pasożytnego grzybka, który już Rzymianom pod nazwą *rubigo* był znany. Grzybki te rozpostarte na całej prawie kuli ziemskiej, we wszystkich podniebiach sprowadzają u roślin chorobę *rdzą* zwaną, która jest postrachem dla gospodarzy z przyczyny szkód, jakie zrządza w zasiewach zbóż. Wilgotność powietrza i gruntu sprzyja ich rozwojowi i wtenczas są częstszymi i bardzo pustoszą plony pracą rolnika zdobyte, jak tego mieliśmy przykład w r. 1873.

Najwybitniejszą postacią tej rodziny grzybów jest *Omar perzowy* (Puccinia graminis Pers). Pojawia się na wszystkich niemal zielnych częściach roślin trawowych, szczególnie na dolnych źdźbłach i pochewkach liścia. Liczne gromadki tego grzybka powodują częściowe obumieranie roślin, a jeżeli opadają je po okwitnieniu, natenczas owoc wytworzyć się nie może. De Bary dowiódł w 1865, że zarodniki grzybka *ognika berberysowego* (Aecidium berberidis) dostawszy się na rośliny trawowe przeobrażają się w wyżej wymienionego grzybka. Radzi przeto, aby w interesie ochranienia zbóż i wszelkich innych gatunków traw od nadmienionego szkodnika, nie sadzić w pobliżu takowych krzewu berberysowego. Niemniej skutecznym środkiem ochronnym przeciw zarazie grzybka tego jest położenie otwarte i z natury suchy lub przez drenowanie osuszony grunt.

Drugą również wybitną postacią tej rodziny jest *rdza* (Uredo Pers), z licznymi gatunkami pasożytującymi na rozmaitych roślinach. Opadnięte niemi części roślinne obumierają przedwcześnie.

Kropidełko sine (Aspergillus glaucus Mich.) porasta zwykle pokarmy zepsute.

Kropidełko białe (A. candidus Mich.) jakoteż wiele innych gatunków tego grzybka znajdywano w oskrzelach żywych ptaków i w płucach człowieka, niemniej na błonie bębenkowej przewodu słuchowego.

Najpospolitszą pleśnią w gospodarstwie domowem jest *Pędzlak modry* (Penicillum glaucum Link). Okazuje się bardzo często na chlebie, owocach, wędzonych artykułach pokarmowych, na atramencie itd. a odejmując im kwasoród jest przyczyną gnicia takowych. (C. d. n.)

MAGJA I NAUKA.

(Ciąg dalszy).

XII.

Hipnotyzm.

Istnieje jeszcze wiele stanów organizmu dziwacznych i z cudownością graniczących a bardzo mało zbadanych; a to z tej prostej przyczyny, że się niemi ludzie poważni prawie wcale nie zajmowali. Magja wyzyskiwała je dopóty, dopóki całkiem dla nich nie zniechęciła badaczy, i dziś lekarz wstydzi się poprostu zająć poznaniem tych zjawisk, ażeby go o szarlatanizm nie posądzono.

Do takich jednakże w wysokim stopniu zajmujących objawów zawiłej naszej organizacji należy tak zwany *hipnotyzm*.

Nazwa ta z greckiego pierwiastku złożona wskazuje na stan senny, chociaż właściwie jest on bardzo od zwykłego snu odmienny.

Ażeby go wywołać, osoba odpowiednio wrażliwa potrzebuje tylko zasiąść na kilkanaście minut w wygodnym fotelu i wpatrywać się nieruchomo w jakikolwiek przedmiot błyszczący: brylant, korek od karafki, naczynie z wodą z tyłu oświecone, wreszcie lusterko małe, guzik albo monetę błyszczącą. Przedmiot ten powinien być umieszczony na kilkanaście cali od oczu i nieco wyżej. Wzrok zaś i myśl należy skupiać bezustannie na przedmiocie.

Osoby osłabione, szczególnie łatwo wpadają w stan hipnotyzmu i widziałem takie którym trzy minuty wystarczały. Jeżeli jednak przytaczam tu te szczegóły, to bynajmniej nie w myśli zachęcenia do tego rodzaju doświadczeń, które nigdy nie powinny się odbywać bez obecności lekarza lub osoby ze zjawiskiem obznajomionej. Często bowiem już po kilku minutach objawiają się dreszcze a nawet rodzaj konwulsji, których niedoświadczeni usunąć nie potrafią.

Wskutek monotonności wrażeń organizm w końcu zasypia, ale zasypia sztucznie, częściowo tylko, właśnie dlatego, że jeden ze zmysłów pozostaje czynnym i że męczy się bardzo znacznie podczas gdy inne organa spoczywają. Taka połowiczność działania wyradza inne niesymetryczności w funkcjach. Nabieg krwi w jednem miejscu, towarzyszy anemji czyli bezkrwistości w drugiem i kolejno objawiają się w różnych sferach działania, już to anestezja (znieczulenie), już hiperestezja (podniecenie), już wreszcie katalepsja czyli stężenie mięśni przeplatane ich bezsilnością lub nadmierną siłą.

Podobne zupełnie zjawiska zachodzą w sferze umysłowej. Wyjątkowa wrażliwość na pewne wrażenia występuje obok zupełnej nieczułości na wszelkie inne, pamięć wygórowana względem niektórych faktów zaciera jednocześnie wszelkie inne, myśl jasna odnośna do pewnego związku, zasypia całkiem dla innych.

Jednem słowem mamy tu do czynienia z pewnem zogniskowaniem się funkcji, które zyskują na rozległości i jedne potęgują się nadmiernie, kosztem nadmiernego osłabienia drugich.

Jeżeli obecna przytem osoba zachowała swój stosunek z usypiającym, jak to szczególnie ma miejsce w tak zwanym śnie magnetycznym, który z podobnych przyczyn powstaje, wówczas możliwem jest nietylko porozumiewanie się z odurzonym, ale nawet zupełne panowanie nad jego stanem.

Wtedy słowo lub giest osoby obcej staje się wszechwładną siłą naginającą myśli i ruchy uspionego i kierującą niemi zupełnie do swej woli. Ów punkt kulminacyjny funkcji może być wówczas dowolnie przenoszony z jednego organu na drugi.

Tak n. p. zwracając uwagę na wrażenia zmysłu węchowego, możemy je spotęgować tak dalece, że chłopiec, o którym wspomina dr. Szokalski, z trzeciego pokoju czuł zapach jabłek, podczas gdy tam znajdował się tylko papier, w który dawniej jabłka były owinięte—a pacjent Dra Azama słyszał rozmowę prowadzoną na niższem piętrze.

Imaginacja jego może być rownie skoncentrowaną i tak samo służy za bierne narzędzie dla operatora. Mówiłem raz uspionemu dotykając go palcem lub kluczem, że go dotykam rozpalonem żelazem i natychmiast zaczął się skarżyć na sparzenie; jeżeli mu się powie, że jest w wodzie i że powinien pływać, zacznie poruszać rękami i nogami dopóki z krzesła nie spadnie. Nawet i bez pomocy słowa możemy w nim obudzać dowolne uczucia. Jeżeli np. posadzimy go na kolana i złożymy ręce, zacznie się modlić; ustawiony w postawie gniewnej i napastniczej objawi od razu chęć walki z jakimś urojonym przeciwnikiem; samo wreszcie podniesienie kątów ust obudzi w nim usposobienie wesołe i t. p.

W obec takiej podatności fantazji uspionego łatwo zrozumieć, że człowiek zręczny może wywołać w jego umyśle najżywsze widzenia zmysłowe za całkowicie nieznacznem pobudzeniem i wtedy odurzony przybiera nazwę jasnowidzącego. Jeśli zaś w jego marzeniach znajdzie się później jakiekolwiek podobieństwo do prawdy, fakt ogłoszony będzie za cud a magnetyzer za cudotwórcę.

Najumiejętniej i z największem powodzeniem ten rodzaj szarlatanizmu uprawiał głośny awanturnik zeszłego wieku, Józef Cagliostro (Balsamo), jeden z najciekawszych ludzi swojego czasu. Jeździł on po całej Europie, zbierając kolosalne pieniądze, chociaż powszechnie uchodził za dobroczyńcę i bezinteresownego proroka, a czynił to wszystko tak zręcznie, z takim zasobem wiedzy, dowcipu a przedewszystkiem znajomości ludzi, że na rożnych dworach Europy uchodził raczej za władcę niż za gościa.

Pierwszy eksperyment hipnotyczny wykonał on z powodzeniem w Mitawie, w Kurlandji, dokąd przybył dla zreformowania miejscowej loży wolnomularskiej na swój system „egipskiej masonerji".

Mimo świetnej wymowy, jaką rozwijał w loży, teorje jego nie znajdowały dość stanowczych zwolenników. Wtedy postanowił czynem dowieść ich prawdy i zażądał ażeby wprowadzono małego niewinnego chłopca, syna jednego z wielkich panów, który do loży należał. „Dziecko to musiało uklęknąć przed małym stolikiem, na którym stało naczynie z czystą wodą a po za niem kilka świec zapalonych. Cagliostro rozpoczął swoje zaklęcia, położył rękę na głowie dziecka i kazał mu za sobą odmawiać modlitwę do Boga, o szczęśliwe spełnienie przedsięwzięcia. Poczem polecił chłopcu, ażeby stale patrzył w naczynie z wodą. Po chwili chłopiec zawołał że widzi jakiś ogród. Cagliostro poznawszy w ten sposób, że Bóg nie odmawia mu swej pomocy, zaczął być odważniejszy i rzekł do chłopca, że prosił Boga o łaskę ażeby mu Michała archanioła ukazał. *Dziecko już przedtem powiedziało: „widzę coś białego, nie mogąc jednak rozpoznać co to jest"*. Teraz zaś zaczęło drżeć i skakać jak gdyby je szatan opętał (takie drgawki są bardzo pospolite przy hipnotyzmie) i zawołało: *spostrzegam dziecię, jak ja, które jednak raczej do anioła jest podobne* — i poczęło opisywać zjawisko w sposób, który o rzeczywistem widzeniu Michała archanioła wnosić pozwalał".

„Wszyscy obecni, nie wyłaczając Cagliostra, byli do najwyższego stopnia zdumieni. On sam jednak zapewniał, że było to tylko działanie łaski boskiej, która mu nigdy na wezwanie obecności swej nie odmawia. Wówczas ojciec chłopca objawił życzenie, ażeby tenże mógł w wodzie wyczytać, co robi w tej chwili jego siostra znajdująca się na wsi o 15 mil od Mitawy. Cagliostro zgodził się i począł na nowo chłopca egzorcyzmować, z ręką na głowie odmawiając modlitwy. Chłopiec spojrzał w wodę i zapewniał, że jego siostra w tej chwili schodzi po schodach i drugiego brata ściska. Wszystkim obecnym wydało się to niemożliwem, ponieważ drugi ów brat miał wówczas znajdować się gdzieindziej o parę set mil od miejsca pobytu siostry. Cagliostro jednak nie dał się w błąd wprowadzić i zażądał posłańca, który fakt sprawdził. Poczem wszyscy obecni ucałowali jego rękę a on ze zwykłą ceremonją ogłosił „zamknięcie posiedzenia."

Przypadek zrządził, iż dziecko, które zapewne domyślało się przyjazdu brata, odgadło dobrze. Fakt „widzenia z odległości" został stwierdzony i wtedy entuzjazm dla cudotwórcy nie miał granic. „Czczono go, klękano przed nim, modlono się do niego," jak opowiada pamiętnik (Leben u. Thaten des Joseph Balsamo s. g. Grafen Cagliostro, Zürich 1791 str. 83).

Później nieraz jeszcze magik nasz powtarzał to doświadczenie, ale strzegł się nadawać mu formy wyraźniejsze i poprzestawał na ukazywaniu nerwowym osobom drogich istot zmarłych, ażeby w szklance wody mogły rozpoznać czy ich dusze znajdują się w niebie czy w piekle. Takie doświadczenie zawsze się uda, byle tylko pacjent miał dobrą wolę ujrzenia cudu.

Podobną sztukę magiczną pokazywałem raz kilkunastu osobom, w obec których siedział uśpiony chłopiec lat 17. Kazałem mu spojrzeć co się dzieje na wsi P. blisko o sto mil odległej, u księcia M. Chłopiec zrazu odpowiedział, że nic nie może widzieć, ale po chwili twarz jego rozjaśniła się.

— Cóż widzisz? — zapytałem.

— Widzę pokój we dworze. Pan M. przechadza się z fajką w zębach... W drugim pokoju nakrywają do kolacji i wnoszą mleko kwaśne z ziemniakami...

Ogólny szmer podziwu rozległ się wśród zebranych. Po chwili rozbudziłem uśpionego. Był zdenerwowany i nie mógł odrazu przyjść do siebie.

— Chodź — rzekłem — napijesz się herbaty.

— Dziękuję — odparł — najadłem się już do syta...

— Ty? gdzie?...

— Zjadłem cały talerz mleka z ziemniakami u M...

I potrzebowałem na to kilka minut ażeby go przekonać że od trzech godzin nie ruszał się z miejsca i że brał na serjo widzenia swej własnej fantazji.

Napisano list na wieś i oczywiście okazało się, że mój jasnowidzący „widział" dobrze, ponieważ p. M. codziennie o tej porze chodził z fajką po pokoju i codziennie jadał mleko kwaśne z ziemniakami.

Ale skłonność do wiary w cuda jest tak wielka, iż mimo że sam objaśniałem naturalną przyczynę tych widzeń, znalazły się osoby, które na własną rękę poczęły komentować zjawisko i rozkrzewiać wiarę w możność „drugiego widzenia." (Dok. n.)

Preludjum.

— O luba! aniele!
Mów, że kochasz, mów!
Żądam tak niewiele,
Dźwięku twoich słów.
Ja cierpię! o droga!
Patrz! w oczach mam łzy,
W mojej duszy trwoga,
I serce me drży!

— O luby! jedyny!
Kocham! kocham cię!
I każdej godziny
Wciąż o tobie śnię.
Bez ciebie grobowy
Noszę w sercu żal...
Ach! ach! kaszmirowy!
Patrz! tam! co za szal!

M. Rodoć.

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIV.

W którym okazuje się, że z Federica jest filut nielada

Świadomi ważności i wysokości swego zadania oczyszczenia „najpiękniejszej w świecie dziewczyny" z wszelkiego podejrzenia, naturalnie postanowili nie tracić ani trochę czasu.

Raniej niż zwykle nazajutrz Gioachino i Romolo zerwali się ze snu, a ubierając się z całą starannością, przywodzili na myśl mimowolnie dwie ofiary, co same przed pójściem na stos, wieńczą się w kwiaty. To pewna, że nasz przyjaciel zbijobruk porządnie nas już schłoszcze — westchnął Gioachino.

— Zasłużyliśmy na to; bośmy rozpoczęli podstępem, albo raczej ja rozpocząłem...

— Tak, to prawda, tyś rozpoczął, jam w tem nic nie winien, pomysł wyszedł od ciebie, ja wynalazłem tylko dowcipny sposób korespondencji.

Ale gdy tak mówił, poczuł Gioachino coś w rodzaju uczucia skruchy — zaśmiał się głośno i ciągnął dalej:

— A, co tam podstęp, przypada on na nas obu w równej mierze! Proszę cię, popatrz jak tam zawiązany mój krawat?

— Doskonale.

— Ależ ty nie patrzysz zupełnie.

Gioachino nie byłby nigdy przystał na stos, z tego jedynie powodu, że w oczach własnych nie byłby się nigdy uważał za dość uwieńczonego.

Obie ofiary rzuciły jeszcze ostatnie przelotne spojrzenie w zwierciadło i opuściły pokój. W milczeniu przyspieszonemi kroki zdążali do Federica.

Zastali młodego człowieka przed stołem założonym książkami i różnorodnemi dziwacznemi naczyniami z krzemienia i palonej gliny.

— Cóż to jest? — spytał Gioachino.

— Mój skarb — odparł śmiejąc się Federico; — rezultat tygodniowego kopania. Co niedziela otrzymuję tyleż. Patrzcie tu krzemienna igła, tu urna z czasów nawodzisk...

— Zkądże ty znasz się na tem wszystkiem?

— Z książek; to nie tak znów trudna rzecz, jak widzicie; przy dobrej woli można w przeciągu kilku tygodni o tyle zaznajomić się z każdą nauką, aby nią zabłysnąć przed światem.

— Aha! Poświęcasz się więc geologji?

— Ja się niczemu nie poświęcam; bawię się tylko. Gdy kilku uczonych odwiedziło po raz pierwszy moje wykopaliska, nic nie chcieli mówić, zachowywali się tak dyplomatycznie, że mnie aż przejęła obawa o moje graty; pomyślałem więc sobie: „albo te rupiecie nie są dość stare albo też są źle zachowane!" Teraz gdy znów przybędą będzie mnie to bawić niewymownie, że im pokażę jak w przeciągu kilku tygodni można się nauczyć poznawać krzemienne igły, nie traktując przytem innych z wysokości trójnoga swej wiedzy. Widzę już jak będą patrzeć na mnie zdumieni, ja zaś rozśmieję się i gardzić niemi będę więcej niż kiedykolwiek... Ale dajmy pokój tym farsom; widzę z min waszych, że macie poważne jakieś rzeczy w zanadrzu.

— Przychodzimy, by się wyspowiadać — rzekł Gioachino — przychodzimy wyprosić sobie rozgrzeszenie i mam nadzieję, że zachowasz względy przynależne naszemu wiekowi. My to jesteśmy ową nieznajomą, która tyle tajemniczych listów w szpaltach gazet pisała do ciebie, ja i Romolo.

— I dla czegoż przychodzicie teraz i mnie to powiadacie? — spytał Federico obojętnie.

— Boś sam już odgadł wszystko.

— Odgadłem, że na nieznajomą składa się dwie osób — rzekł Federico.

— Słusznie; jedna zwie się Gioachinem a druga Romolem.

— A któraż z tych dwu osób pisała ten ostatni list, tylko co nadeszły?

Przy tych słowach Federico ukazał na leżącą przed nim gazetę. Obaj starzy popatrzyli na siebie w milczeniu, znowu zniweczono ich intryżkę.

— No, cóż, dowiemże się? Który z was ten list pisał?

Gioachino byłby dał kilka lat życia, gdyby mógł był powiedzieć: „To ja!" ale słowo to zdało mu się zbyt ryzykownem i uwięzło w gardle.

— Przyznajcie się! — rzekł młody człowiek — jesteście przez *nią* wysłani, by podejrzenia moje odwrócić. Bo jej się zdaje jeszcze, że to jest u mnie prostem podejrzeniem, podczas gdym ja pewien swego.

— Przysięgam ci, że nie z jej polecenia tu przychodzimy — upewniał Gioachino.

— A więc to ona rzeczywiście?

— Nie powiedziałżeś, że masz pod tym względem zupełną pewność?

— Nie inaczej, ale cieszę się, że mnie w tem utwierdzacie... a drugą osobą jest inżynier?

— O, broń Boże, nie on! — zawołał Romolo — tą drugą osobą my jesteśmy, gotów jestem dać ci na to dowód.

— Czemże to?

— Powtarzając ci jeden z listów na pamięć, któregoś nie czytał wcale u Trombettów.

I poczęli obaj recytować na przemiany.

Federico w zamyśleniu poglądał przed siebie — nagle zawołał wesoło:

— Skoro inżynier nie ma z tem nic wspólnego, jestem zadowolony, w takim razie przebaczam „jej" i wam; nie podobało mi się tylko parze narzeczonych być rozrywką, by nią sobie mogli zabić czas do „uroczystego dnia"... Czemu patrzysz na mnie tak dziwnie, Romolo?

— Przecież nie są jeszcze parą narzeczoną — rzekł tenże — gdybyś zechciał!

— Nie, nie chcę — przerwał Federico ze śmiechem — a i ona nie chce, wierzcie mi; jestem dla niej antypatycznym, znieść mnie nie może, nienawidzi mnie; a prócz tego, widzicie, ja zakochany teraz jestem w urnach z epoki kamiennej.

Romolo westchnął i nic nie odpowiedział.

— Ale dla czego dopuściliście się ze mną tego żartu? — spytał Federico.

— A jak ty odgadłeś, że żart ten wyszedł z domu Trombettów?

— Tego się domyśleć nie było zbyt trudno; nieznajome popełniały różne sprzeczności, skutkiem tego widocznie były to dwie osoby; druga nie mogła wpaść na pomysł użycia w tym celu gazety, nie wiedząc o pierwszej... a że ja nie czytałem nigdzie tych listów prócz w domu Trombettów....

— To jeszcze nie dowód — zauważył Gioachino; nie mogliż sobie znajomi w klubie zrobić tej przyjemności i intryżkę poplątać przez przeciwieństwa?

Federico uśmiechnął się.

— I o tem ja myślałem; i wiecie co zrobiłem? Napisałem list sam do siebie i rozwinąłem w nim pewne poglądy na skarby ukryte, na prawdę i miłość....

— Czyż ten list nie był od Gabrielli?

— Nie, ja go sobie sam posłałem; przyszedłem, przeczytałem list w waszej i panny obecności i nazajutrz rano miałem odpowiedź. Filozofja jej zdradziła Gabriellę.

Gioachino uderzył się w czoło.

— A teraz do was — rzekł Federico: — czemużeście mi to przysyłali miłosne listy?

— Bośmy za każdą cenę chcieli, byś się zakochał, bośmy woleli byś się po szyję zaplątał w intrygę, niż byś wlókł dalej taką egzystencję próżniaczą, bezcelną, zabijającą ducha.

— A czemuż pisała panna?

— Nie wiem.

— I ja nie wiem — zapewniał Romolo — idź i spytaj się jej samej.

— Ale ja wiem — rzekł Federico; — pisała, bo instynktownie mnie nienawidzi, bo chciała do żywego zranić moją próżność a zarazem pokazać mi nieco swej filozofji..: o, bo filozofja to jej potęga, jej czuła struna. Ja też wybaczam jej tak samo jak wam. Dam jej najzupełniej pokój i ani słóweczka nie odpowiem na wszystko; powiedźcie jej tylko, że żart ten uważam za wielce zręczny i dowcipny i z serca jej przebaczam. A teraz dajmy temu pokój!... Cóżem to chciał powiedzieć... czy wiecie nowinę?

— Co za nowinę.

— Jaką?

— Bank ludowy zbankrutował, a ja na tem tracę... to mi się po raz pierwszy zdarza.

— Czy wiele tracisz?

— Nie wiem dokładnie, ale zdaje mi się, że nie tak znów wiele.

— I mówisz nam to tak obojętnie?

— Może mam płakać?.

Obaj starzy zabierali się do odejścia, ale na wychodnim Gioachino uderzył się w czoło, odwrócił raz jeszcze i spytał wprost:

— Pokaż no co tam pisze Gabriella?

— Nie rozumiem cię — odparł śmiejąc się Federico.

— Jakto, albożeś nie powiedział, że dopiero co otrzymałeś gazetę?

— A ot, tu jest — rzekł Federico „Fanfulla", którą abonuję, nic w niej jednak nie ma napisanego.

— Aj, ty filucie! — zawołał Gioachino, toś nas wywiódł w pole.

— A, niecnoto! — łajał Romolo, to byś nas zwabił w zasadzkę!

Federico śmiał się do rozpuku.

W drodze rzekł Gioachino do Romola:

—Ten łotr ma więcej od nas obu rozumu! Gdyby mi kto za tydzień powiedział, że stał się sławnym geologiem, odpowiedziałbym mu, że wiedziałem o tem oddawna.

Romolo westchnął i zamilkł.

— Kto wie, ile mógł stracić na upadłości banku! — rzekł po chwili.

— Kto to wie? Założyłbym się, że sam o tem nigdy nie będzie wiedział. Lubię ludzi wyższych nad pieniądz.

— I ja to lubię, byle znów nie zanadto.

. . . .

Skoro tegoż samego wieczora znalazła się Gabriella sam na sam ze starymi, spytała w trwożnem oczekiwaniu.

— I cóż?

— A cóż — odpowiedział melancholicznie Romolo, widzieliśmy go, mówili z nim, wie wszystko; zabawił go ten żarcik i śmiał się z niego serdecznie.

Gabriella zamilkła na chwilę zamyślona.

— Czy może przynajmniej odróżnić moje listy od pisywanych przez ową drugą nieznajomą?

— Wątpimy; jeśli jednak chodzi pani o to bardzo, to nic łatwiejszego jak to uczynić, bo owa druga nieznajoma...

Długi Romolo o mały włos nie popełnił kapitalnego głupstwa, gdyby wczas jeszcze nie stanął obok niego Gioachino i nie pociągnął go za połę.

Na skutek tego napomnienia Romolo utknął w krytycznem miejscu a przyjaciel jego ciągnął dalej z maleńkim warjantem:

... bo jeśli tamta druga nieznajoma nie może objaśnić, to *pani* objaśnić możesz, które to są listy pani.

Gabriella zrezygnowana pochyliła głowę na piersi i wymówiła po chwili namysłu:

— Zrobię to! Pan Federico więc nie podejrzewał inżyniera?

— Owszem, podejrzewał go — odpowiedział Romolo — ale my powiedzieliśmy mu, że...

— Że inżynier w to wcale nie wmięszany, że najlepszym tego dowodem, to, że nieznajoma wciąż pisze jeszcze...

— Jeszcze pisze?

— Codziennie też same niemal frazesy.

— A jakże to uważa Federico?

— Nie wiem; prawdopodobnie czeka spokojnie aż się wreszcie zdemaskuje... raz przecież musi to nastąpić...

Romolo korzystając z sposobnej chwili z giestem zdumienia zwrócił się do Gioachina:

— Cóż za piramidalne wymyślasz kłamstwa!

A Gioachinowi myśl ta snać, że pochlebiła, bo aż podniósł głowę na dwa cale wyżej.

„Najpiękniejsza w świecie dziewczyna“ przez cały ten wieczór była roztargnioną i dziwnie jakoś niespokojną; oczekiwała Federica, a gdy już niepodobieństwem było dłużej się go spodziewać, opuściła zwykłe towarzystwo i podążyła do swego pokoiku w duszy powtarzając sobie: jutro!

Ale Federico nie przyszedł, ani nazajutrz, ani później.

ROZDZIAŁ XV.

Bazar dobroczynności.

I w tym roku jak innych medjolańskie gazety rozniosły po prowincji tę wieść radosną, że karnawał wypadnie cudownie, zdumiewająco, nad podziw świetnie; i tego roku również przechodziły po ulicach Medjolanu tłumy poczciwych parafian, różniących się na pierwszy rzut oka powierzchownością od wielkomiejskich mieszkańców; znać było po nich, że się dobrze najedli, napili, ale krążyli po ulicach znużeni i spiący i nie bawiący się ani trochę.

Całkiem nowem i przyjemnem widowiskiem był „Bazar dobroczynności“, parafianom przecież wydawał się on nieco nudnym, dla męzkiej młodzieży Medjolanu za to miał on siłę dziwnej atrakcji.

Wielka sala *dei Giardini publici* zamienioną była w bazar; w niżach jej urządzonych na sklepy mieściło się do stu dziewcząt od lat piętnastu do dwudziestu, pod honorową strażą pięćdziesięciu poważnych starców, zajętych sprzedawaniem towarów niezbyt wybrednej publiczności po cenach o ile możności najwyższych.

Panny nie wszystkie były piękne ale wszystkie świeże, wesołe, śmiejące, wszystkie tak swobodnie w świat poglądające, umiejące tak uprzejmie sypać złośliwościami i szczebioczące tak rozkosznie, że wszystkie wydawały się pięknemi. Wszystkie miały na twarzach półmaseczki a czasem tylko weneckie z czarnego aksamitu na oczach opaski, ale ten kawałek czarnego aksamitu podwyższał tylko jeszcze świeżość młodzieńczych ich twarzyczek.

Starcy byli najrozmaitszego rodzaju, byli tam mali i wysocy, prości i pochyleni, wysmukli i otyli; u jednych czoło było świecące i gładkie jak bilardowa kula, u innych szorstkie i pobrużdżone jak ugor; byli tam brodaci i bez wszelkiego zarostu, dobroduszne i surowe twarze, ale wszyscy mieli jak śnieg białe włosy.

W jednej z nisz pośród zastępu młodych dziewcząt znajdowała się i nasza Gabriella a po za nią i jej koleżankami stało kilku podeszłych mężczyzn, w ich liczbie widzimy Gioachina, Romola i doktora Rocco.

Ten ostatni siedział na biegunowym fotelu przy stoliku i jak się zdawało nudził się haniebnie; Gioachino trzymał się wciąż uparcie w pobliżu maleńkiego jakiegoś człowieka, obok którego wydawał się olbrzymem i pod pozorem gorąca zsuwał co chwila na tył głowy białą perukę, by każdy mógł się przekonać, że ma jeszcze piękne czarne, choć nieco już siwizną poprószone włosy.

Romolo natomiast stał oparty o filar w pobliżu Gabrielli i puścił myślom wodze, twarz pięknej panny przywodziła mu na pamięć sny dawno zbiegłej młodości. Z galerji rozlegały się melodje, grane przez ukrytą orkiestrę; szeroką salę zapełniał gwarny szmer zmięszanych tłumów, który pewien inżynier przypisywał wadliwej pod względem akustyki budowie sali, w którym Romolo zaś dosłuchiwał się tajemniczych dźwięków... tajemniczych dźwięków swojej... krótko mówiąc pewnych wielce tajemniczych dźwięków. A gdy Gabriella po niezmiernie trudnej sprzedaży, bo kupujący wyszukiwał Bóg wie nie jakich pozorów, by tylko czas sprzedaży przedłużyć, odwróciła się z tryumfującą miną, zdało się Romolowi, że w rysach jej w pół przysłonionych maską widzi żywy obraz *swojej* Tranquilliny, taki, jaki przechował się w jego wyobraźni nie oszpecony maską czasu.

Był tam więc w towarzystwie jakiś inżynier w peruce i charakteryzacji starca, który na przekór siwym włosom dziwnie do Enei był podobnym. Potrzebowano kogoś do zapisywania w księgi handlowe rozsprzedanych rzeczy; on się ofiarował z swemi usługami, przyjęto go i przestrojono na starca.

Ten bazar dobroczynności nie był bynajmniej tak monotonnem widowiskiem, za jakie uważał je doktor Rocco pod wpływem podagrycznego swego humoru. Nie brak tam było zabawnych zdarzeń; tam na przykład jakiś młody człowiek, obszedł wszystkie składy dokoła i zakupiwszy w każdym z nich po jakiejś drobnostce, zatrzymał się przed jedną ze sprzedających panienek, blondyneczką, by i od niej coś kupić, ale co? Tak, cośkolwiek cobądź — a potem poprosił o uśmiech; ówdzie inny kupował krawat bez porównania drożej niż kosztuje surdut, pod tym tylko warunkiem, żeby urocza kupcowa związała mu go własnoręcznie, a maseczki robiły wszystko przez litość dla biednych chorych.

Najpiękniejsze kupcowe najwięcej miały zajęcia; przechodząc można było widzieć jedną lub drugą z tych dobrowolnych ofiar ustępującą z przedniego planu i odpoczywającą w głębi na sofie.

Gabriella nie należała do tej liczby; nie miała wiele znajomości w Medjolanie, tym więc sposobem bardzo nie wielu tylko wiedziało o tem, że była „najpiękniejszą w świecie dziewczyną“; to też pozostawała jej nie jedna wolna chwila a wtedy miała zawsze jakąś pieszczotę dla chorego gderliwego ojca, uśmiech dla Gioachina i Romola, tylko dla inżyniera nic już nie zostawało.

Nagle — zagrała znów właśnie ukryta orkiestra, zbity tłum jak jedna masa począł się ruszać — zniknął uśmiech z ust Gabrielli i opanowało ją toż samo uczucie trwogi, którego doznawała zwykle na widok Federica, a na ten raz inne jeszcze dołączyło się wrażenie, coś może w rodzaju wstydu.

Piękne dziewczę stało wsparte o arkadę swej niszy, a on zbliżał się do niej, posuwany prądem falującego tłumu; już ją dojrzał i składał jej ukłon, ale Gabriella udawała, że go nie widzi. By ukryć swe wruszenie obejrzała się dokoła czy czasem nie znajdzie się ktoś kupujący, coby ją wybawił z tego kłopotu; ale wszystko ją opuściło jakoś w tej chwili; tuż obok niej jakaś piękna blondynka sprzedawała bukiety po bajecznych cenach, a dalej znów jakaś ognistooka brunetka cygara.

Gabriellę opanowała pokusa odstąpienia i ukrycia się za swymi przyjaciółmi, przyszło jej na myśl nawet niejasne jakieś wspomnienie o pewnym inżynierze w siwej peruce, tak blizko niej stojącym a przecież oddalonym od niej całemi światy i już przyszła jej myśl zbliżenia się do niego, ale nie poruszyła się z miejsca, tylko wsparta na poręczy poglądała w tłum napływający i odpływający z każdą chwilą.

— Pani! — powitał ją naraz głos znajomy.

Widziała Federica nie patrząc na niego, teraz spuściła oczy z wyrazem zdziwienia i trwogi.

— Ile kosztuje spojrzenie? — spytał młody człowiek.

— Nic, jak pan widzisz — odpowiedziała Gabriella niepewnym głosem i podniosła oczy.

— I nic więcej nie masz pani na sprzedaż?— pytał dalej Federico.

— O, tak, panie; bukiecik, lub jeśli pan

wolisz parę rękawiczek... a może los na wylosowywanego wierzchowca; mogę panu wybrać los szczęśliwy...

Gioachino i Romolo spostrzegłszy swego przyjaciela zbliżyli się do panienki; inżynier miał masę do zapisywania i dla tego nie mógł się rozstać z swą księgą, zdala wszakże zwracał na prowadzoną rozmowę uwagę i w połowie zaledwie był przy swej pracy.

Ośmielona obecnością obu starych, odzyskała zwolna zwykłą sobie swobodę i z wesołością, z którą tak jej było do twarzy, wyliczała Federicowi sta rzeczy na sprzedaż. Federico w milczeniu patrzał jej w oczy a Gabriella była pewną, że czynił to dla tego tylko, by ją zmięszać.

Naraz rzekł młody człowiek.

— Pani! Czy czasem z miłosierdzia dla biednych nie zechciałabyś mi sprzedać pocałunku?

Romolo i Gioachino roześmieli się głośno, podczas gdy przykuta do stron kontowej księgi dusza inżyniera zapłakała w cichości, jakkolwiek nie pojmował on znaczenia tego śmiechu.

— Czemu nie? — odpowiedziała stanowczo Gabriella, ale twarz jej zapłonęła przy tych słowach; — za każdy pocałunek tysiąc lirów — ile ich pan żądasz?

Mówiła te słowa z śmiałością, wynikającą z gniewu, silniejszego w niej w tej chwili nad wstyd; potem obejrzała się do koła. Kształtna blondyna, ognista brunetka i kilku innych młodych dziewcząt, które słyszały wszystko, pokończyły na prędce targ z swymi gośćmi i szeroko rozwarłszy oczy przypatrywały się co z tego będzie; tu i ówdzie wysuwały się nawet świeże usteczka wyzywająco... o ile mnie się zdaje uprzejme kupcowe wszystkie bez wyjątku byłyby się w tej chwili poświęciły z zapałem. Czegoż to nie czyni się z litości dla biednych!

Federico przecież nie troszczy się o inne, a w pośród kupujących nie było znów nikogo, coby chciał naśladować jego przykład; gdy więc wszyscy przyglądali się tylko ciekawie, on wyjął niedbale pugilares z kieszeni i począł w nim przewracać.

— Mogę trzy tylko kupić — rzekł potem podnosząc oczy.

Wtedy spostrzegł, że twarz dziewczęcia przed chwilą jeszcze płonąca jak ogień, nagle pobladła, zobaczył przyćmiony połysk oczu z po za maski i zrozumiał, że biedaczka bliską jest omdlenia, zwłaszcza też, że tłum ciekawych się wzmagał.

Niejeden szeptał półgłosem tak, że szept ją dobiegał.

— To jej kochanek! a inny poprawiał:

— To jej narzeczony.

Co tu robić? Jeśli się zrzecze tej sprzedaży, tłum ją wygwiżdże; a i Federico czuł jak go jakieś ogarniało zakłopotanie.

Wtem przyszła mu myśl szczęśliwa, wziął trzy losy i podał je Gabrielli.

— Zrób to pani tak — rzekł — ale głos jego nie brzmiał już tak pewno jak przedtem, napisz pani na każdym z tych losów: „ważny na jeden pocałunek“, a pod spodem swe imię; możesz mi pani potem dług swoj wypłacić stosownie do tego jak pani będzie dogodnie w obecności ojca i matki.

Błysk wdzięczności zaświecił w oczach Gabrielli, uśmiechnęła się i napisała co żądał.

Oddając przecież losy i odbierając za nie zapłatę w trzech skarbowych biletach po tysiąc lirów, wraz ze swobodą powróciła jej i figlarność.

— Ale brak tu jeszcze sześciu lirów za trzy losy.

— Daruj pani — wymówił Federico — tu są.

Zapłacił i zniknął ścigany spojrzeniami ciekawego tłumu. Grupa również ciekawych zatrzymała się przed niszą, by się lepiej przypatrzeć Gabrielli, która cofnęła się pod osłonę starszych panów siedzących w głębi. Że przecież nie wyszła już na przód niszy, zapewnili przeto niektórzy ciekawcy, że właściwie nie była ona tak znów piękną, że raczej tamta, lub owa zasługiwała swą pięknością na taką odznakę.

Tymczasem Gabriella siedząc w rogu kanapy zadawała sobie gwałt, by się nie rozpłakać z gniewu, inżynier z zakrwawionem sercem wciągał w księgę trzy tysiące lirów i trzy pocałunki. Doktor zasypiał a Romolo i Gioachino zacierali sobie ręce.

. . . .

Gioachino i Romolo nie brali zanadto do serca gniewu dziewczęcia; pocieszali ją z wielce poważnemi twarzami, z po za których przecież przeglądał filuterny uśmiech; i mimo ton namaszczony w gruncie z trudem powstrzymywali śmiech. A kiedy nakoniec zapewniali, że to że strony Federica prosty żart karnawałowy, widocznem było jak na dłoni, że myśl ich nie harmonizowała ze słowami.

— Wszakże sami w to nie wierzycie — zawołała wreszcie Gabriella—czemuż chcecie to wmówić we mnie?

Obaj starzy popatrzeli na siebie zakłopotani, sądzili, że odgadnęła ich myśli.

— Któż tego nie widzi, że pan Federico znieść mnie nie może i że tę psotę zrobił mi mszcząc się za mego figla?

Obaj starzy przecież obstawali przy swojem, że to był rzeczywiście tylko figiel karnawałowy, nic więcej. W duszy jednak przekonani byli jak najmocniej, że Federico zakochał się na zabój w Gabrielli.

— Chciał mnie upokorzyć — ciągnęła dalej piękna panna — w obec zebranego tłumu okrywając mnie rumieńcem wstydu, a potem wspaniałomyślnością swą przyciskając mnie do ziemi... Byłabym chętnie ze wstydu zapadła się w ziemię, a na to on liczył... nienawidzi mnie!

— Daruj pani — rzekł Gioachino — zkąd wnosisz, że cię nienawidzi?

— Bo ja go nienawidzę; bom go nienawidziła od pierwszego dnia poznania; o, nie wiem cobym dała za to, żeby mi się udało ukarać jego śmiałość, żeby ją musiał drogo odpokutować!

— Oho — zawołał Romolo — o ile mnie się zdaje, jużeś go pani na dość drogą skazała pokutę!... Trzy tysiące lirów za trzy pocałunki, których mu pani nie dałaś nawet!

Gabriella poczuła, jak fala krwi nabiegła jej do głowy i ukryła twarz w dłoniach.

— Mogłabym, doprawdy, płakać z gniewu i wstydu — rzekła podnosząc oczy zaszłe łzami, ale nie dam mu tego zadośćuczynienia, będę musiała zapanować nad sobą.

Po chwili spytała już spokojniej:

— A co teraz będzie?

— Nic złego, kochana pani. Federico dziś wieczorem w obecności rodziców przedstawi pani owe trzy bony, pani mu je jak bankier spłacisz bez najmniejszej renty, a my zadowolnieni śmiać się z tego będziem. Rozważ pani tylko całą tę sprawę spokojnie, przecież to nic znów tak strasznego, jak się pani zdaje.

Po niejakim namyśle i Gabrielli rzecz ta nie wydała się tak znów bardzo straszną.

— O, to prawda — zawołała z śmiechem — przynajmniej drogo kazałam mu opłacić próżność... Jaka to szkoda, że on taki bogaty!

— Pociesz się pani — odpowiedział Romolo; — koniec końcem nie tak on znów bogaty jak utrzymują ludzie. Niech kto ma trochę pieniędzy; natychmiast ci co nic nie mają, gotowi są dołożyć mu drugie tyle; toż i nas obu posądzano za naszych hulaszczych czasów o miljonik. Nieprawdaż, Gioachino?

— A, tak, prawda!—odpowiedział tamten— i musieliśmy opłacać ludziom taki haracz jak gdybyśmy go mieli rzeczywiście.

— A potem w ostatnim tygodniu wskutek upadłości ludowego banku, musiał stracić dość pieniędzy — mówił dalej Romolo; — wprawdzie nie powiedział nam tego, wiele to było, bo sam jeszcze nie wiedział.

Gabriella przysłuchiwała się w milczeniu; była czegoś zmięszana, bo w głębi duszy czuła jakby wyrzut, że zbyt drogo sprzedała swe pocałunki.

— Przecież nie stracił znowu może tak wiele — rzekła po chwili, boć nie byłby chyba w tak dobrym humorze; w ogóle byłby lepiej zrobił gdyby pokornie i uczciwie przyznał się, że moje pocałunki są zbyt drogie i poszedł sobie dalej; zdaje mi się nawet, że przez to byłby pozyskał sobie mój szacunek.

Romolo przecież giestem zaprzeczył temu twierdzeniu, a Gioachino wprost już to przeczenie wypowiedział.

Przez cały dzień Gabriella nie myślała o niczem innem jak o dziwacznem zajściu dnia dzisiejszego; wieczora oczekiwała z trwogą choć wmawiała w siebie śmiałość. Przyjdzie i zażąda tego, co mu się prawnie należy! — powtarzała sobie bezprzestannie i nie mogła doczekać godziny, która miała położyć kres jej niepokojowi.

Zwykłe domowe zajęcia nie szły jej jakoś, wciąż jedna ta myśl krążyła jej w głowie; nakoniec jednak rzekła z uśmiechem:

— E! co tam! Ci klubowi panowie mają swoje kaprysy, tak całkiem jak zdenerwowane panie — niechaj więc za nie płacą. Powinnam była zażądać jeszcze więcej, tyle żeby to było mogło wystarczyć na założenie szpitala „pod trzema pocałunkami“. Byłam za skromna; czemże jest trzy tysiące lirów dla pewnych ludzi nie liczących nawet pieniędzy? Mniej niż niczem. Jeśli to prawda, że na upadłości banku ludowego stracił, to prawdopodobnie taki jak on marnotrawca straty tej ani spostrzegł; codzień widzimy, że jedna nauczka nie wystarcza do ukarania próżniactwa! I bieda tego nie poprawi, zaledwie nędza; mówią, że są tacy ludzie, którym wówczas jest dobrze gdy doprowadzą do miljona długów.

Ale jakkolwiekbądź kręciła i odwracała tę rzecz, zawsze wewnętrzny głos jakiś szeptał jej, że to było okrucieństwem kazać zapłacić panu Federico trzy tysiące lirów za trzy pocałunki, które ma otrzymać kiedyś dopiero.

I by ujść karzącego głosu sumienia w dalszym ciągu myśli — zawołała aż głośno:

— Błazen, próżny głupiec!

— Któż to? — spytała matka.

Gabriella zaczerwieniła się i pozostała dłużną w odpowiedzi.

Tranquillina całego zajścia w bazarze dobroczynności nie brała zbyt na serjo.

*

— Był to prosty sobie kaprys — mówiła — zabawna myśl, nic więcej; zkądże przyszło ci do głowy, że swem zachowaniem chciał cię upokorzyć? Toż nie pierwszy to raz, która z pięknych pań przy takiej okoliczności sprzedaje pocałunek; tyś ich sprzedała trzy i trochę drożej, w tem cała różnica.

— Ale nie wiesz, mateczko... — odpowiedziała Gabriella.

— Czegoż to nie wiem?

— Że on mnie znieść nie może, że mnie nienawidzi.

— Mylisz się — odpowiedziała Tranquillina — nie kupuje się pocałunków nienawistnej sobie, tak samo jak nie kupuje się ich od kochanej kobiety. Jesteś mu obojętną, oto wszystko.

— Ale ja go nienawidzę, on wie o tem i dlatego się pomścił.

— A czemuż go nienawidzisz?

Gabriella ociągała się z odpowiedzią a matka mówiła dalej:

— Moje dziecko, nienawiść cięży najbardziej temu, co jej doznaje, ale każdy zły poryw uczuć, ma zawsze swą dobrą stronę. Rozważ więc i zbadaj twe serce, czy w niem nie znajdzie się coś lepszego dla pana Federico.

Gabriella odeszła i zamknęła się w swoim pokoju, a skoro w nim znalazła się samą, poczęła mówić głośno jak do niewidzialnej towarzyszki:

— Czyś zrozumiała?... Masz wynaleść coś lepszego, coś szlachetniejszego dla pana Federica; teraz więc chodzi o to, by sumiennie przepatrzyć serce. Jeśli mama mówi prawdę, to widać z wrażeniami jest tak jak ze stałemi ciałami, jak nas uczono za pensjonarskich czasów na lekcjach geometrji, każde z nich ma tyle a tyle stron i wszystko zależy na tem, by najpiękniejszą wynaleźć. A gdybym też na miejsce nienawiści postawiła dumną i spokojną pogardę?

Ale znowu w głębi jej duszy ozwał się ten cichy głosik nieśmiały i szeptał słowami matki: zbadaj moje dziecko, twe serce, czy w niem nie znajdziesz czego lepszego dla pana Federico.

— O, jest coś lepszego, jest! — zawołała Gabriella — odtąd będę dlań mieć obojętność, niewzruszoną niczem obojętność, co jest stokroć większą karą nad nienawiść lub pogardę. Jeśli jednak *on* jest obojętnym, jak mówi mama, w takim razie tem go nie zranię.

— Miałożby to rzeczywiście być prawdą — zapytała się nagle i myśli jej inny przybrały kierunek — miałożby to rzeczywiście być prawdą, że i *on* również dla mnie nie ma nienawiści, a tylko chciał mi okazać, że mnie żałuje, że mi wybacza i że żadnej nie przywiązuje wagi do tego com powiedziała lub uczyniła, albo też powiem czy zrobię?

Gdyby nawet chciała, nie byłaby mogła porzucić wątku, jaki mimowolnie przyjęły jej myśli; musiała go dosnuć do końca.

— Żałuje mnie! — rzekła po chwili; — może lituje się jeszcze; uważa, że mam przewrócono w głowie, żem śmieszna i strasznie dziecinna. I ja więc dowiodę mu mojej litości, z całem miłosierdziem opłakiwać będę ten los okrutny, co go rzucił w świat tak ubogim w myśli, tak słabym sercem i tak odartym z woli. To byłoby istotnie poczciwe, szlachetne uczucie, jeśli się nie mylę, zwie się to miłością bliźniego. A więc mam już! Niechaj przychodzi teraz pan Federico, jestem gotowa ofiarować mu głęboką litość.

Z postanowieniem nie myślenia więcej o tej rzeczy opuściła swój pokój; nie było to przecież tak łatwem jak się jej zdawało. U stołu każde słowo, przypominające jej blizkie odwiedziny Federica, budziło w niej nowe plany i nowe postanowienia; a gdy wreszcie w przedpokoju rozległ się trwożny i dyskretny głos dzwonka, młodej dziewczynie zdało się, że jakaś niewidzialna ręka odbierała jej całą swobodę a rozwaga poszeptywała jej po cichu:

— Wszystko to nic nie pomoże; kiedy cię pocałuje trzy razy, cóż na to poradzą gniewy i oburzenia? Śmiej się lepiej i ofiaruj mu twą przyjaźń. Że przecież jest to człowiek próżny i zarozumiały nie do wiary, że w końcu gotówby sobie Bóg wie nie co uroić, na początek przeto w wielkiej tajemnicy na znak przyjaźni, zrób mu poufne zwierzenie, że inżynier Enea stara się o ciebie, i że za niego wyjdziesz... Otóż on... drzwi się otwierają, słyszę już kroki jego w przedpokoju. Przywdziej teraz uśmiech na usta i bądź jak najswobodniejszą.

W samej rzeczy drzwi przedpokoju się otwierały, słychać było kroki w przedpokoju i jakiś pan stanął na progu pochylony grzecznym ukłonem.

— Prosimy, prosimy bliżej! — wołali siedzący u stołu.

Ale nie był to Federico, tylko pewien inżynier, blady jak trup a smutny jak napis grobowy. (C. d. n.)

KORESPONDENCJE

Wrocław, w maju 1879 roku.

(*Powszechna historja teatru Alfonsa Royer'a.— Amerykański teatr.— Nowości literackie z Niemiec.*)

(*Dokończenie*).

Od lat dziesięciu mniej więcej zmieniły się stosunki teatru amerykańskiego o tyle na lepsze, że dyrektorowie zaatlantyccy nie żyją samym rozbojem. Spieszą się teraz sami z wystawą nowości zagranicznych, płacąc autorom prawem przepisaną tantjemę, płacąc także przerabiacza i tłómacza. Teatr w Nowym Yorku np. wystawia nowości wcześniej, aniżeli Londyn. I tak ukazały się dramata: Frou-Frou, Fernande, Andréa, Les deux Orphelines, les Danischeffs, Une cause célèbre, les bourgeois de Ponte-Arcy rychlej na scenie Nowego Yorku, aniżeli w Londynie. Równocześnie zaczęto wołać w dziennikach o dramata krajowe, a ponieważ wołanie to wychodziło z łona redakcji, z któremi się wszelkie teatra liczyć muszą, przeto zgodzili się dyrektorowie na wystawę sztuk krajowych. Jednakże wołania te nie wydały dotąd prawdziwego dramaturga. Z wyjątkiem *Bronsona Howarda*, którego bluetka „Laratoya“ i dramat społeczny „The Banker's Daughter“ dosyć się podobały i *Joaquin Millera*, którego dramat „The Danites,“ na tle scen z życia poszukiwaczy złota osnuty, miał także powodzenie, nie zasługuje żaden inny autor na dalszy rozgłos. I tak przepadły np. dramata Bret Harte'a po pierwszym razie bez nadziei dłuższego powodzenia. Pole komedji leży zupełnie odłogiem. Jedyny utwor w tym gusście, komedja *Mac Kaije'a* „Won at last,“ który się udał, jest przeróbką powieści pani Werner pt.: „Glück auf“ (Niemki).

Przez długi czas nie uznawała Ameryka znaczenia dramaturgji niemieckiej. Pierwszy *Daly*, dyrektor i autor teatralny, postanowił i Niemców wyzyskać, a uczynił to iście „po amerykańsku“ Oto tak. Jeden z amerykańskich literatów, znający język niemiecki, przetłomaczył *Mosenthala* „Deborah.“ Tłomaczenie to sprzedał p. Daly za 25 dolarów. P. Daly, *autor* zmienił tytuł Deborach na „Leah, the Forsaken“ (Opuszczona) i nazwał *tak zmienione dzieło własnym utworem*. Miss Batemann, znana aktorka amerykańska, poszukiwała właśnie jakiej sztuki błyszczącej. P. Daly namówił ją, aby próbowała szczęścia w roli tytułowej jego dzieła. Próba udała się, sztuka podobała się bardzo. Miss występowała w głównej roli w samej Ameryce codziennie przez dwa lata, a później w Anglji jeszcze 500 razy, czyli aktorka i korsarz literacki zrobili majątek na sztuce, której tłumacz dostał 25 dolarów a właściwy autor nic. Później dopiero dowiedziała się aktorka, że właściwy autor we Wiedniu mieszka i żyje. Posłała mu liścik wonny i prośbę, aby przyjął od niej całe honorarjum za setne przedstawienie sztuki. Honorarjum to za jedno przedstawienie nadeszło wkrótce — opowiadał pan Mosenthal — a było tak znaczne, że po jednem wnioskując, całość ogólnego dochodu musiała być olbrzymia. Drugim niemieckim dramatem, który w Ameryce narobił wielkiego hałasu, był *Brachvogla* „Narcyz.“ Aktor, Daniel Bandmann, kazał go sobie na język angielski przetłomaczyć. Z rolą tytułową jeździł nie tylko po Ameryce, ale Australji i Indjach Wschodnich, wszędzie zbierając obfite, a „złote“ wawrzyny. I w tym razie postąpiono sobie z właściwym autorem „po amerykańsku,“ bo nie umieszczono nawet imienia jego na karcie tytułowej. Korzyści materjalnych nie miał Brachvogel żadnych, nikt się o niego nie troszczył. Od roku 1871 wyrobił sobie i dramat niemiecki prawo obywatelstwa na scenie amerykańskiej. Grano tam Mosenthala „Madeleine Morel,“ *Gustawa von Moser'a*, szląskiego dramaturga „Ultimo,“ *Rosen'a* „Citronen,“ *von Schweitzer'a* „Epidemisch,“ *Benedix'a* „Ein Lustspiel,“ *L'Arronge'a* „Mein Leopold“ i td. Z wszystkich tych utworów utrzymały się tylko trzy (Deborah, Ultimo, i Narcyz) przez dłuższy czas, a nawet dotąd chętnie są widziane.

Co do praw autorskich panował w Ameryce zupełny chaos. Wiadomo bowiem, że konstytucja amerykańska nie zastrzegła praw zagranicznych autorów. Kto mógł, kradł, a kto rychlej ukradł, ten zwyciężał, bo zapełniał nowością własną kieszeń. Ale kiedy w głównych miastach coraz więcej teatrów zakładano, kiedy sobie dyrektorzy bezładnem ubieganiem szkodzili, wówczas postanowili sami prawa własności autorskiej uregulować. Uregulowali też, lecz tylko na własną korzyść. Autor zagraniczny nie znajduje dotąd opieki przed prawami Ameryki. Za to zasłania to prawo jednego dyrektora teatru przed drugim.

— Do główniejszych nowości literackich z Niemiec należy obszerne na lata obliczone dzieło, pod wspólną redakcją Onkena wychodzące. Jest to nowa „historja powszechna“ (Allgemeine Geschichte in Einzeldarstellungen). Każdy rozdział tego dzieła wyjdzie z pod innego pióra specjalisty. Do współpracownictwa zapisał się już cały szereg znanych imion, jako to: Brückner, Dalm, Dümichen, Erdmannsdörfer, Flathe, Geiger, Justi itd... Dotąd wyszły dwa rozdziały. 1) Dzieje początkowe Egiptu przez Dümichena, 2) Dzieje Persji przez Justi'ego.

— *Adolfa Wildbrandta* tragedja „Kriemhild“

(w 4 aktach), dotąd mimo publikacji w druku, prawie nieznana teatrom, doczekała się wystawy z łaski sławy, którą odznaczenie na ostatnim konkursie imienia Szylera autorowi zgotowało. Młody, dotąd nieznany autor niemiecki *Ernst von Wildenbruch* odważył się odrazu na 4 aktowy dramat pt. „der Menonit.“ Grano go w Berlinie w Nationaltheater. W ostatnim czasie przybyły Niemcom trzy, daleko widne mogiły. Umarli: profesor *Dove* w Berlinie, profesor *Huber* w Monachium i poeta *Beck* we Wiedniu.

J. Jeske Choiński.

KRONIKA NAUKOWA.

przez

B. ABAKANOWICZA.

(„Cuda“ najnowsze. Zöllner i spirytyzm. Telefony Machalskiego i Gowera. Sprawozdanie komissji Rady miejskiej paryskiej o oświetleniu elektrycznem. Pappyrograf Zuccatiego i ołówek woltaiczny Belleta i Hallez d'Arros. Przesyłanie siły za pomocą elektryczności.)

(Ciąg dalszy).

Na posiedzeniach Towarzystwa Politechnicznego i Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, pokazywano w ostatnich czasach nowe telefony pomysłu p. inżyniera Machalskiego, które zadziwiły słuchaczów nadzwyczajną i niesłychaną dotychczas siłą głosu. Mowa przenosiła się ze stacji wysyłającej z stosunkowo tak małą stratą siły, że słychać było w całej sali, co mówiła mała blaszka żelazna. Szczególniej śpiew był donośnym i znać było w nim wszelkie cieniowania.

Sama budowa przyrządu pana Machalskiego, jest zupełnie taką jak w opisywanym już w Kronice naukowej *Tygodnia*, węglowym telefonie Edisona.

Wysyłacz składa się z napiętej błony opartej w swym środku o kawałek jakiegoś ciała, wiernego przewodnika, przez które przechodzić musi prąd przed odejściem do stacji odbierającej depeszę. Ciało to ma własności mikrofoniczne, tj. pod wpływem drgań opierającej się o nie błony zmienia swe przewodnictwo, i to proporcjonalnie do siły drgań przyciskającej błony. W chwili gdy się do wysyłacza nic nie mówi, to prąd biegący od baterji, przechodzi do następnej stacji, nie zmieniając co chwilę swego natężenia. Lecz gdy pod wpływem fal dźwięcznych dobywających się z ust naszych, zacznie drgać błona, to zmieniać się zacznie i przewodnictwo owego postawionego ciała, więc po drucie przebiegać będzie prąd, którego natężenie pokażdej chwili proporcjonalnem jest do drgań błony i taki prąd falisty, na stacji odbierającej zamienia się w zwykłym telefonie Bella napowrót, na drgania blaszki powtarzającej mowę.

Główną częścią aparatu, jest owe ciało umieszczone pod błonką, stanowiące rodzaj kurka dla elektryczności, przepuszczającej jej w każdej chwili tyle, jak tego mniejsze lub większe odchylenie błonki wymaga. Pan Machalski, po długich poszukiwaniach, znalazł skład tego ciała taki, że główne wady dotychczasowych telefonów na zasadzie mikrofonicznej usunięte zostały. Nie słychać mianowicie wcale chrypienia, towarzyszącego dawniej aparatom podobnego rodzaju, mowa przenosi się wyraźnie, a siła jej jest taką, jak w żadnym z dotychczasowych przyrządów tego rodzaju.

Telefony pana Machalskiego zaprowadzone są od kilku miesięcy w Wydziale krajowym i funkcjonują tam dotychczas wybornie.

* * *

Inny telefon, pomysłu p. Gowera, zajmuje obecnie koła naukowe w Anglji i we Francji. Co do zasady, nie różni się on niczem od zwykłego telefonu Bella. Składa się z żelaznej blaszki i magnesów otoczonych koło biegunów zwojami drutów. Główną jego zaletą jest to, iż wszystkie części składowe dobrane są w sposób tak doskonały i dokładny, że głos przenosi się z niezwykłą siłą i bez użytku baterji elektrycznej, słyszeć można mowę telefonu w dość dużym pokoju. Magnes użyty przez Gowera zamknięty jest w małej przestrzeni, lecz posiada siłę niezwykłą, wskutek stosownego umieszczenia biegunów, według systemu Faradaya. Magnesy zachowują całą swą siłę, nadaną przez machinę elektryczną, wskutek ściśnienia pola magnetycznego, między dwoma biegunami nadzwyczaj blisko od siebie się znajdującego.

Blaszka żelazna, jest grubszą od tej, którą używano dotąd w telefonach; korzyść ztąd ta, że w obecności biegunów drga większa masa żelaza i prądy przebiegające po drucie są silniejsze.

Telefon Gowera posiada także szczególny rodzaj sygnału. W blaszce znajduje się mały otwór, zamknięty blaszką taką, jakiej używają do budowy *harmonium*. Dosyć jest dmuchnąć do telefonu wnet blaszka ta zaczyna drgać i wydawać ton sobie właściwy, który się z wielką siłą przenosi do następnej stacji, przywołując tam kogoś do słuchania.

Telefon Gowera zasługuje na uwagę szczególniej z tego względu, że jest on prawdziwym wzorowym telefonem, systemu Bella. Siła głosu w telefonach bez baterji, doprowadzona w nim jak się zdaje do granic możliwych.

* * *

W uzupełnieniu tego com niedawno podał w *Tygodniu* o postępach oświetlenia elektrycznego w ostatnich czasach, pozwolę sobie podać jeszcze dzisiaj streszczenie sprawozdania o próbach z takiem światłem, robionych przez komisję, która została wydelegowana do zbadania obecnego stanu sprawy przez Radę miejską miasta Paryża.

Przez rok cały niektóre części miasta, a głównie wielka ulica Avenue de l'Opéra były oświetlone świecami systemu Jabłoczkowa, przez towarzystwo akcyjne, zwące się Société générale d'électricité. Po roku towarzystwo to zażądało trzyletniego kontraktu z miastem na oświetlenie znacznej przestrzeni w okolicach giełdy i wielkiej opery, lecz komisja wniosła o odmowę i zażądała żeby próby były dalej prowadzone na większą jeszcze skalę.

Komisja orzekła, iż w obecnym stanie, pomimo zkąd inąd znakomitego postępu, światło elektryczne systemu Jabłoczkowa nie może jeszcze zastąpić gazu. Trzeba więc jeszcze całą sprawę pozostawić jak jest i tylko dać pole towarzystwu do doświadczeń na różnostronniejszych. I tak Avenue de l'opéra ma być jeszcze dalej przez rok jeden oświetlaną świecami elektrycznemi, a oprócz tego w wielkich Hallach i na placu Bastylji mają być zaprowadzone nowe lampy.

Rada miejska ogłasza przytem, że każde towarzystwo oświetlenia elektrycznego, które się wykaże naprzód dostatecznością produkowanych przez siebie lamp, będzie dopuszczone do robienia prób równoczesnych w pewnych kwartałach miasta.

W ten sposób otworzy się w Paryżu międzynarodowy konkurs najrozmaitszych towarzystw i wynalazców. Mieszkańcy będą mieli przez ten czas dosyć czasu na przyzwyczajenie się do elektrycznego światła, a specjaliści, będą badali i porównywali wszystkie metody.

Kontrakt z towarzystwem Jabłoczkowa nie został zawarty głównie dlatego, że żądano za wielkiego wynagrodzenia. Wymagano sześćdziesiąt centymów za każdą świecę i za każdą godzinę. Miasto natomiast proponuje zapłatę w stosunku do siły i ilości światła, które towarzystwo ma dostarczać. Chce ono płacić tylko 30 centymów za jedną świecę i godzinę pracy.

Tymczasem i towarzystwa gazowe stają do konkursu. Niektóre ulice otrzymały zwiększoną ilość dzióbków gazowych a w innych przygotowują się nowe kandelabry, które mają dać bez porównania lepsze oświetlenie od dotychczasowego. (Dok. nast.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Czytając nasze codzienne gazety, zdawałoby się, że cały Lwów a z nim i cała Galicja myśli, mówi i działa w celu przeprowadzenia nowych wyborów do Rady państwa. Tymczasem o ile to z doniesień widać, sprawą tą nie bardzo zajmują się obywatele wyborcy, chociaż komitet centralny nie żałuje wezwań, a nowi prezesi komitetów wyborczych ogłoszeń o zgromadzeniach przedwyborczych. I u nas we Lwowie, mieliśmy już takie zgromadzenie tak zwane najobszerniejsze, które wybrało komitet obszerniejszy, ten komitet ma wybrać komitecik mniej obszerny a ten dopiero powoła aspirantów do stanu poselskiego, z których wyłoni się sam ekstrakt kandydacki. No, zdaje się, że przy tak systematycznem prasowaniu, kwintesencja powinna być jak się należy, coś takiego, o czem cała Polska tylko zamarzyć może. W obec tyle sprzyjających okoliczności, którym akcja wyborcza towarzyszy, zdaje się, że na teraz wyjdziemy górą i ambicja szlachecka powinna być zadowolniona, skoro już żydów mamy za sobą. Partja starowierców żydowskich o żadnym innym pośle nie chce słyszeć jak o Polaku, wspominając bardzo czule wszystkie dobrodziejstwa jakie żydzi od Polaków, począwszy od książąt mazowieckich, doznali, pan Hönigsmann sam się ofiaruje wstąpić do koła polskiego, i to nawet wtenczas, gdyby go wpuścić nie chciano; ksiądz Kaczała gotów jest złożyć przysięgę, że ani jednej łzy nie uroni w razie przyszłego zamachu na cara Aleksandra, owszem deklaruje nawet zacierać ręce z radości. Panowie starostowie również nie myślą kokietować o krzesło w parlamencie, podobno, że pan minister tego sobie nie życzy. Partja konserwatywna z podpisem hr. Hohenwartha jest także za rozwojem historycznych narodowości, a stronnictwo krakowskie już sobie obciera usta od całusów z Lwowianami w imię solidarności. Mała tylko zachodzi jeszcze kwestja do wyrównania między Czasem a dziennikami lwowskiemi, coś w rodzaju pytania „czy tabakiera dla nosa, czy nos dla tabakiery“. Czas powiada, że solidarność

powinna być celem, a nasze dzienniki, że środkiem, otóż jak na tym punkcie nastąpi kompromis choćby tak po szlachecku, na połowę, to już będzie między nami zgoda dopóty, dopóki się posłowie nie zjadą do Wiednia.

Tymczasem Wydział krajowy nie myśląc o tem co to będzie, a spodziewając się, że ani głucho ani ciemno, prowadzi dalej rozpoczęte prace dla przyszłego Sejmu krajowego i stara się sprawę kultury posunąć coraz to naprzód. Statuta dla przyszłego Banku krajowego są już przygotowane, ankieta rybna zwołana.. A propos tej ankiety, ciekawa rzecz wyszła na jaw, że nasze wody galicyjskie nie mają prawnego właściciela. Rząd nie chciał ryb naszych przyjąć pod swoją opiekę i nadać im tytułu regaliów, właściciele brzegów nie mają praw określonych a nad wszystkiem panuje zwyczaj zależący na tem, że chłopi na pożytek żydów wyławiają wszelkie wodne stworzenia w opałki, i ogromnie są zadowoleni, że pan profesor Nowicki zapuścił im narybku, który za lat parę mają nadzieję ponieść na targi żydowskie do miasteczka. Otóż ta zapowiedziana ankieta rybna, ma owe nieszczęśliwe ryby podciągnąć pod jakieś prawa, i udzielić tym o zimnej krwi stworzeniom pewnych swobód konstytucyjnych choćby takich samych, jakich używają dwunożni obywatele galicyjscy, to jest, że wolno ich będzie zjadać na pożytek państwa jak już nie będą zdolne do pracy, a tem samem do płacenia podatków. Dalej, mówiąc o działalności komitetu dla spraw kultury donosimy, że dosyć zgłasza się amatorów z żądaniem głębszego wiercenia kosztem funduszu krajowego. Proszę tylko nie brać wyrażenia tego w znaczeniu komubądź ubliżającem, naprzykład o wierceniu w głowach, lub czemś podobnem takiem, jak powiada pewien poeta, zdaje się że z Opatówka. — Tu idzie o pogłębianie otworów naftowych na sposób amerykański w łonie matki naszej świętej ziemi, dla wydobywania z niej więcej oleju oświecającego. Na takie przeto doświadczenia jest dosyć amatorów a nawet tego rodzaju, że mogliby sobie dać radę własnemi siłami bez funduszów publicznych. W sierpniu ma jechać na grunt komisja i spodziewamy się że przyjdzie z pomocą Sejm kopalniom, których właściciele najwięcej tego potrzebują.

Cokolwiek trudniej idzie rzecz z rozwijaniem zakładów przemysłu domowego, mianowicie koszykarstwa, garncarstwa i snycerstwa. Tu wysokie ministerjum dawszy jakąś taką zapomogę tym zakładom, zastrzegło sobie wolność dysponowania temi szkołami, oddawszy nauczycielom prawo życia i śmierci nad produkcją wyrobów. Skutkiem czego, ci panowie zrobili sobie z zakładów tych spekulacyjkę na swoją rękę, zostawiwszy na drugim planie wykład nauki, w miarę swoich widoków. Ztąd i Towarzystwo Tatrzańskie nie może się doprosić subsydjów na szkołę rzeźbiarstwa w Zakopanem, gdyż zapomoga ta od Ministerjum, połączona jest z warunkiem usunięcia nadzoru Towarzystwa Tatrzańskiego na rzecz władzy przychodzącej tylko z częściową pomocą. Jeszcze, gdyby ministerjum rozciągnęło skuteczną opiekę nad zakładem, możnaby takie postępowanie tolerować, lecz przeciwnie, o ile słyszeliśmy, gdzieindziej rzecz ta zostaje zupełnie zaniedbaną, i zamiast podnosić zakład, prowadzi go do ruiny, jak to ma miejsce ze szkołą koszykarstwa w Krakowie.

A propos Krakowa! Wracający z wycieczki technicy nasi, nie mogą się odchwalić restauracji sukiennic, które już zjadły trzy razy tyle funduszów ileby potrzeba na postawienie nowego gmachu w tym rodzaju. Powiadają, że te wysmukłe dawniej Sukiennice coraz bardziej rozłażą się na boki i mieszczą w sobie wszystkie style architektoniczne wszystkich epok, które były, są i będą; — że mają obszerne terasy, na które wchodzi się oknem, wodozbiory w piwnicach, indyka i koguta niby prezydenta z wiceprezydentem, jedną przekupkę ze zbyt korpulentną fasadą, kawałek cerkwi i różne przypadłości mające pozór rosnącego ciasta na drożdżach. — Powiadają, że tam się stawiają bez planów, tak na oko różne przybudówki i tym się przypatrują zdaleka jak też to wygląda. Jak dobrze to zostaje — jak źle to się burzy i znowu co innego stawia. Socjalizm z więzienia, gdzie dotąd adherenci jego trzymani są pod śledztwem, zaczyna już w mieście kiełkować rozbudzając w tak posłusznem i jednozgodnem społeczeństwie, rodzinne waśnie. Buntownicy napojeni żółcią opozycji chcą teatru na miejscu szpitala ś. Ducha; spokojni obywatele znowu chcą na gwałt wody, żeby te resztki krewkości krakowskiej pozalewać. Zatem wodociągi i teatr, teatr i wodociągi, teatrowicze i wodociągowicze niby Montechi i Capuletowie stają naprzeciw siebie, piszą broszury, piszą fejletony, radzą w Radzie, radzą po knajpach i dzielą plac po ś. Duchu na parcelle i parceliki. A my we Lwowie co na to? Bawimy się i wyprawiamy festyny, których w drugi dzień Zielonych świątek mieliśmy aż dwa. Na wysokim zamku królowała „Gwiazda", a w ogrodzie miejskim pewnie ze sto gwiazd i to pierwszorzędnych. Stowarzyszenie pracy kobiet urządziło loterję fantową, i trzeba przyznać, że choć nie bogatą w fanty, to za to bogatą we wdzięki i elegancję. Kto tam nie był, a zdaje nam się wielu nie było, do samej śmierci żałować powinien, bo pewnie drugi raz nie zobaczy takiego bukietu z samych piękności lwowskich uwitego.. Nawet krakowiacy, którzy tam byli i jak wiadomo zakochani we wszystkiem co krakowskie, musieli przyznać, że Lwów ma tyle pięknych kobiet, żeby ich trudno na rynku krakowskim pomieścić. „Zkąd to się wzięło we Lwowie? — pytał mię jeden prawdziwy znawca takich rzeczy. — Przed sześciu laty jak tu byłem, nie widziałem nic podobnego?" A ja tylko zacierałem ręce patrząc na jego zachwyt i namawiałem do kupna biletów loteryjnych i mam sobie to za zaszczyt, żem potrafił kilkanaście reńskich wyciągnąć z tej konserwatywnej kieszeni dla Stowarzyszenia mającego tak świetną reprezentację.

Jednakże przy wielu innych powodzeniach naszych w tym tygodniu mieliśmy i pewne nieprzyjemności. Pełtew się rozigrała, walcząc o lepsze z Cisą, a to skutkiem nawalnicy, która zamieniła Lwów na Wenecję. Wystawa sztuk pięknych — ma się rozumieć malowanych — również nam się nie udała i musieliśmy ją na później odłożyć, wreszcie naraziliśmy się na nowy gniew „Czasu" wybrawszy na delegatów do centralnego komitetu wyborczego p. p. Hausnera, Rewakowicza i Goldmana. Ależ trudno wszystkim dogodzić, muszą czasami znaleść się i ciernie chociażby we Lwowie.

Na zakończenie tej pogawędki, a raczej na jej pieczątkę nie mogę się powstrzymać z powtórzeniem pewnej anegdotki, którą mi w tych dniach za fakt autentyczny sprzedano.

Pewien hrabia miał zięcia nicpotem, bo i hrabiom się tego rodzaju zięciowie przytrafiają, który za często ciągnął weksle na papę dobrodzieja. Papa dla miłości jedynaczki płacił, aż w końcu zdecydował się dać znać do wiadomości publicznej że nigdy żadnych weksli ani wystawiał, ani w przyszłości wystawiać nie myśli, a zatem i płacić nie będzie. Mimo to zgłasza się do niego wkrótce pewien brodaty jegomość i przedstawia wązki skrawek papieru żądając zań parę tysięcy reńskich. — Mój kochany — rzecze doń rozgniewany hrabia — trzeba być osłem, żeby dawać mojemu zięciowi pieniądze! —Z przeproszeniem jasnego hrabiego—odparł żyd filuternie— a czem trzeba być coby jemu dawać córkę, he?

—Masz rację Abramku — odezwał się na to hrabia klepiąc się w czoło... I weksel zapłacił...

BIBLJOGRAFIA RUSKA.

— *Czornobrowec* perespiw Lubarta Horowskoho. ct. 20.

— *Dribna bibljoteka.* I. Powisty Erkmana Chatriana, Pereklaw Roman Rozmaryn. 8ka str. 61 Lwów 1879. ct. 15.

— *Dribna biljoteka.* II. Literatura Ukraińska proskribowana riadom rossijskym M. Dragomanowa z francuskoho. ct 10.

— *Dribna bibljteka* III. Erntl Heckel. Widky i jak wziały sia lude na zemly 8ka str. 31. Lwów 1879. ct 10.

— *Dribna bibljoteka.* IV. Kain mysteria w triech dijach Gordena Bejrona pereklaw Iwan Franko. ct. 20.

— *Dribna bibljoteka.* V. Dumy i pisny najznatnijszych ewropejskich poetiw. I. wybraw i wydaw Iwan Franko. ct. 10.

— *Istoria Rusy* wid perszych Kniaziw aż do napadu tatarskoho. Pośla Iwana Neczuja 16ka str. 72. Wydanie Towarystwa Proświty. Lwów 1879. ct. 15.

— *Iwanow H.* Wojna za wolu. Opowidanie. 8ka str. 31. Lwów 1879. ct. 8.

— *Ricz Iwana Werchratskoho* pro Hrehoria Kwitka Osnowianeńka. ct. 15.

— *Rukopyś korolodworska* zbernyk staroczeskych epicznych i lyrycznych piseń. Perewod Iwana Werchratskoho. ct. 25.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ *Program polskiego stronnictwa postępowego.* Odezwa do wyborców w r. 1879. Opuścił prasę we Lwowie (cena 15 ct.).

⁂ *W Przededniu Wyborów.* Broszura polityczna wyszła z druku we Lwowie (cena 20 ct.).

⁂ Jak mało zajmujemy się oświatą ludu może o tem dać pojęcie zupełne zaniedbanie literatury ludowej, od ostatniego powstania, które upadło jedynie dla tego, że lud nieoświecony nie pojmował sprawy. Od 63 roku zupełnie z programu prac narodowych oświata ludu została wykreśloną. Wprawdzie pisma postępowe bardzo często przypominają tę sprawę, ale publiczność tych głosów dziennikarstwa nie bierze do serca i zachowuje się zupełnie apatycznie.

Są jednak ludzie którzy nie zrażają się ogólną apatją i chociaż w cichości pracują, budują dla przyszłości. Do takich ludzi należy p. Pjotr Zbrożek, który cegiełkę do cegiełki dorzuca co roku. Właśnie mamy przed sobą trzy jego najnowsze broszurki przeznaczone ku krzewieniu oświaty a więc i dobrobytu między ludem:

Gmina Zalesie, w której autor przedstawia w formie powieściowej wzór dobrze urządzonej gminy. Byłoby bardzo pożytecznie, gdyby nie tylko sam lud czytał tę książeczkę a szczególniej polecamy ją pp. Posłom. P. Zbrożek dużo już pracował na tem polu, obeznał się z potrzebami krajowemi i podaje wiele praktycznych wskazówek, z których należy korzystać. Drugą książeczką jest: *Jak się wybiera radę gminną i naczelnika gminy,* trzecia zawiera: *Prawa i obowiązki*

naczelnika gminy. Treść ich zawarta w tytułach. Czy potrzeba wskazywać na ważność rozpowszechnienia tych broszur między ludem? Wszystkie trzy książeczki razem kosztują 24 ct. Czy może się nazwać obywatelem kraju, człowiekiem wykształconym ten kto mając stosunki z ludem nie zrobi tak drobnej ofiary, aby powyższe książeczki kupić i w miarę możności rozpowszechnić?

Bądź co bądź, wdzięczność należy się autorowi, że nie zraża się ogólną apatją a swoją pracę prowadzi dalej. Nie dziś to w przyszłości kraj z niej korzyść odniesie.

*** *Żydzi*, studjum społeczne Teofila Merunowicza, opuściło prasę nakładem Księgarni Polskiej. Jest to jedna z tych gruntownych prac owianych gorącą chęcią służenia krajowi, któremi odznaczają się wszystkie dzieła szanownego autora. Praca ta jest zbyt ważną i dotyka najżywotniejszych interesów społeczeństwa naszego, abyśmy nie mieli jej po święcić szczegółowego rozbioru, który zamieścimy w jednym z najbliższych numerów *Tygodnia*.

*** Mamy przed sobą książkę przed pół wiekiem wydaną w Londynie p. t. *Specimens of the polisch poets*.

Są to wypisy z pisarzy, skreślone przez Jana Bewreny'a.

Książka pomieniona, jak donosi *Fonethighthrewiew*, ma się ukazać po raz setny.

Estreicher podał krótki opis pierwszej edycji, która składa się z przedmowy, rozprawy obejmującej historję języka i wyjątków z ważniejszych poetów, udatnie przełożonych; tu między innemi należą Sobótka i niektóre treny Kochanowskiego, Sielanka Daphais Szymonowicza, poezje Węgierskiego, Wojna Chocimska Kras ckiego i Wiesław Brodzińskiego.

Obecne wydanie ma być podwojone.

Poeci ostatniego wieku będą niem objęci, jak niemniej krótki rys bieżącej literatury i dziennikarstwa.

*** Antoni Zingerle, uczony Tyrolczyk, autor monografji Owidjusza, przystąpił do pracy nad poezją łacińską średnich wieków.

Książka pomieniona obejmie pisarzy wieku XVI (jako dodatek). w którym to dziale ma być kilka ustępów poświęconych Sarbiewskiemu i kilku innym naszym poetom.

Do słów krytyki dołączone będą i przekłady.

*** Przybrana córka zmarłego w roku 1853 Hoene-Wrońskiego, panna Batilda Conseillant, wydała obecnie trzecie pośmiertne dzieło pod tytułem: „*Le développement de la philosophie absolue.*“

Inne dwie poprzednio przez nie drukiem ogłoszone prace noszą tytuły: „*Apodictique ou traité du savoir suprême*“ i „*La propedentique.*“

Wszystkie te, równie jak i za życia przez Wrońskiego wydane pisma, odznaczają się mistyczną, nieprzystępną dla ogółu treścią.

*** Na konkursie, odbytym w tych dniach w akademji sztuk pięknych w Petersburgu, następujący Polacy z wydziału malarskiego otrzymali nagrody: Miłosz Kotarbiński, wielki medal srebrny, takiż medal Kazimierz Gołębiowski; małe medale srebrne: Antoni Malinowski, Kazimierz Dunin i Stanisław Roztworowski.

Dwukrotnie już medalami odznaczany syn znakomitej Bakałowiczowej, Stefan, obdarzony został subsydjum pieniężnem.

*** W Bydgoszczy, uważanej za zniemczałą, firma p. Dąbrowskiego zamierza wydawać pismo p. t. „Wszechbrat“ w każdą niedzielę. Oburzenie „Bromberger Zeitung“ jest wielkie.

*** W Paryżu wkrótce zacznie wychodzić z inicjatywy pani Juljety Lamber nowy dwutygodnik p t. *L'esprit libre*. Ma to być republikański *Revue des deux mondes*. Na wydawnictwo złożono miljon franków.

*** Firma braci Paetel w Berlinie wyda wkrótce „dziennik podróży po Hiszpanji“ feldmarszałka Moltkego.

*** Akademja francuska rozdzieliła nagrodę Vitet (6,000 fr.). przeznaczoną dla odznaczających się dzieł literackich, pomiędzy p. Juljusza Claretie, za jego książkę „*le Drapeau*“ i panią Th. Bentzon za romanse obyczajowe.

*** Redakcja Kłosów uwiadamia, iż z „powodów od niej niezależnych“ wstrzymany został druk powieści „Za wysoką cenę,“ rozpoczętej w N-rze 673, w Bibljotece Najcelniejszych utworów Romansu, W. Hugona „Nędzarze“ i w Tygodniku Romansów „Hrabina de Chlarny,“ Aleksandra Dumasa.

*** Podobno p. Piltz, dotychczasowy odpowiedzialny redaktor Nowin, otrzymał pozwolenie na wydawanie pisma codziennego w Petersburgu.

*** Podobno p. Kempner, księgarz z Płocka, zamierza wydawać pismo ludowe prowincjonalne — tylko przyklasnąć temu można.

*** Przegląd Katolicki mieści recenzję dzieła Mich. Bobrzyńskiego „Dzieje Polski“ — artykuł bardzo ciekawy w swoim rodzaju!

*** W Wiedeńskiej sali rzeźb *Kunstvereinu* zwraca ogólną uwagę wspaniały odlew gipsowy pana Tadeusza Błotnickiego „Samson spoczywający.“ W figurze tej krytycy podnoszą bardzo sumienne studja anatomji i oryginalności modelowania. Talent bije z niej niepospolity. Błotnicki jest jednym z najlepszych uczni Żambuska i świetne daje zapowiedzi.

*** Prof. Kazańskiego Uniwersytetu Baudouin de Courtenay. został wybrany członkiem korespondentem paryskiego Towarzystwa Etnograficznego (Institutution etnographique).

*** W Sławucie lekarze Zejdowski i Przesmycki otwierają od 25 maja zakład leczenia kumysem.

*** Kazimierz Ostrowski w d. 14 maja otworzył swą pracownię dla publiczności — oglądano tam ukończony pomnik dla Dr Girsztowta.

*** Towarzystwo Zachęty Warszaw. na ten rok ofiaruje swym członkom olejodruk „Elegia“, Siemiradzkiego odbity u Fajansa.

*** Na Wyst. Zach. Szt. Pięk. przybyły: Chełmońskiego „Konie na popasie“, Maleckiego „Obóz w lesie“, Alfreda Kowalskiego „Powrót z jarmarku“, Pani Pane krajobrazy włoskie, Fr. Wastkowskiego „Las“, Pochwalskiego „Odpoczynek“, Fauskiego „Grajek wiejski“. Strzałeckiego „Dziewczynka“, Parla „Po deszczu“, Woroczewskiego „Po zachodzie“, Lud Kucharzewskiego „Rzymianka“ (marmur).

*** Na polach Świdnicy dolnej w W. Ks. Poznańskiem, znaleziono przedhistoryczne cmentarzysko pogańskie.

*** W Stryju, w Galicji, p. Czesław Pieniążek miał sześć odczytów o życiu i dziełach Artura Grotgera.

*** Na posiedzeniu publicznem Akad. Krak. otrzymał nagrodę (z funduszu z Lindów Goreckiej) za pracę leksykograficzną p. Dr. Jan Karłowicz, przedstawiwszy „Słownik wyrazów cudzoziemskich w języku polskim“.

*** Na posiedzeniu wydz. nauk przyrod. Tow. Przyj. N. w Poznaniu odczytano rozprawę „O roślinach mięsożernych“, prof. Sempołowskiego.

*** Na scenie warszawskiej ma być przedstawiona komedja Paillerona „L'age ingrat“.

*** Henryk Wieniawski wyzdrowiawszy, udał się z Odessy do Londynu.

*** P. Doroszyński nabył od M. Bałuckiego za 700 guld. jego nową komedję „Krewniaki“, nagrodzoną na konkursie krakowskim.

*** P. Górski, pierwszy skrzypek orkiestry Teatru Wielkiego, powróciwszy z Kairu, objął swą posadę.

*** Pani Modrzejewska opuszcza Amerykę i na Anglję wraca do Europy.

*** W roku przyszłym otwartą zostanie wystawa malarska w Moskwie, na którą otrzymali wezwania i tutejsi artyści.

*** Dr. Zoll miał w sali radnej krakow. odczyt „O niewoli u Rzymian“.

*** Na posiedzeniu młodych przemysłowców w Poznaniu odczytano „O starożytnem i nowożytnem szewstwie“.

*** Obrazy Siemiradzkiego wycofane zostały z Wystawy Zachęty Sztuk pięknych w Warszawie a natomiast przybył udatny obraz „Powrót z jarmarku“ Alfreda Kowalskiego, „W parku“ Strzeleckiego, „Konie na sprzedaż“ Chełmońskiego.

Wiadomości społeczne.

*** Manja klubów oddawna już istnieje w Paryżu; po różne czasy zajmowano się niemi, a nawet goręcej aniżeli dzisiaj.

U Magny'ego, słynnego Magny'ego, zbierał się cały świat arystokracji talentu, znakomitości pędzla, dłuta, pióra itd.

Georges Sand uniešmiertelniła tę restaurację; za każdem przybyciem do stolicy obiadowała u Magny'ego, który przez uznanie dla jej talentu zachowywał dla niej osobny stolik, podobnie jak i dla znakomitego krytyka St. Beuv'a.

Przedtem stołowała się pani Sand u Philipp'a, gdzie często z nią Szopen przesiadywał.

W znanym romansie *Elle et Lui* spotkanie Lelji z Fortunim tam właśnie ma miejsce.

Philipp słynął z wybornych ryb, Magny z przyrządzania cielęcych nóżek na sposób smażonych kurcząt.

Saint Beuve urządzał u Magny'ego obiadki, na które sprászał kilka ładnych artystek i z całą powagą wykładał im historję miłostek 18-o wieku, życiorysy głośnych awanturnic itp. budujące rzeczy.

Najciekawszymi były „obiady ateistów“ w tej samej restauracji, na których zbierali się regularnie co wtorku Teofil Gautier, Goncourt, St. Beuve, Charles Edmond (Chojecki), Edmund Scherer, Ernest Renan, Berthelet i Gustaw Flaubert.

Rozprawiano tam wiele o filozofji i literaturze.

Renan najczęściej głos zabierał; Gautier śmieszył wszystkich swojemi przesądami; za nic w świecie nie byłby usiadł do stołu, jeżeli liczba obiadujących gości fatalną liczbę 13-u wynosiła, wówczas musiano sprowadzić dziecko i dopełnić nim parzystą liczbę biesiadników.

— Na miłość Boską — wołał rozpaczliwie — nie zsuwajcie tylko stołów ze sobą, bo nieszczęście gotowe!

Pewnego dnia—opowiadają jego towarzysze — dał się biedny Teofil Gautier wciągnąć w nieszczęśliwą trzynastkę i zapomniał o zwyczajnych środkach ostrożności; przypadek też chciał, że tegoż samego roku umarł poeta rzeczywiście.

*** Wody Dunaju zalały Ada Kaleh, ufortyfikowaną wysepkę na Dunaju, zajętą jeszcze przed rokiem przez wojska austrjackie.

*** Na odbywającej się w Wiedniu wystawie koni otrzymał wielki medal srebrny za poprawną rasę koni p. Edward Jastrzębski z Dębna.

*** W zjednoczonem królestwie w Brytanii i Irlandji wydestylowano w roku ubiegłym 39,205 606 galonów wódki. Z tego przypada na Anglję 9,835.476, na Szkocję 17,607,046, a na Irlandję 11,762.044 galonów. Podatek z tego źródła wynosił 15 miljonów funtów szterlingów.

*** W Manchester odbyła się egzekucja Wiljama Cooper. Zamordował on dziewczynę. Wstęp na plac egzekucji był wzbroniony i przedstawicielom prasy.

*** Wezuwjusz znów ciągle wybucha. Erupcje są jednak łagodne. Raz tylko w ciągu b. m. wybuch był groźniejszy.

*** Z obliczeń pewnego niemieckiego statystyka okazuje się iż Bawarja najwięcej konsumuje piwa; i tak w Norymberdze przypada rocznie na każdego mieszkańca bez różnicy płci i wieku 401 litrów piwa. w Monachjum 470, a w Ingolstacie 1,000 litrów rocznie.

Z Odessy dzienniki piszą, iż wychodźtwo do Ameryki nie ustaje. W tych dniach przeszło 40 rodzin udało się z Odessy za granicę, a ztamtąd do Ameryki. Z drugiej znów strony donoszą, iż z Brazylji wypłynęło do Ameryki 400 emigrantów, a 700 oczekuje tylko sposobności, aby uczynić to samo.

*** Cukrownia w Kijanach, nabyta przez p. Pacanowskiego, otrzymuje nazwę „Ludwikowa“ oraz nowe ulepszone aparata.

*** We wsi Tucznababa, w gub. Piotrkowskiej, odkryto pokład galmanu 52 stóp gruby.

*** W Nowym Dworze powstaje fabryka fajansu.

*** Komitet Muzem Rolnictwa i Przemysłu w Warszawie ogłasza na miesiąc kwiecień 1880 r. wystawę przemysłu tkackiego.

*** Królestwo Polskie liczy 37 cukrowni, a z tej liczby 19 w gub. Warszawskiej, 5 Kaliskiej, a *po*

3 Radomskiej i Piotrkowskiej, po 2 w Lubelskiej i Płockiej, wreszcie gubernji po jednej.

*** Francuski minister spraw wewnętrznych rozesłał do wszystkich prefektów okólnik, w którym oświadczając, iż rząd nie ma na teraz zamiaru rozstrzygać kwestji odbywania publicznych procesji, pozostawia im moc dawania lub odmawiania pozwoleń na odbywanie tych pochodów religijnych.

*** Berlin w tych dniach nawiedziła trąba powietrzna. Unosiła ona w powietrzu olbrzymie masy piasku i śmiecia, któremi przysłoniła całą dzielnicę miasta. Mieszkańcy strwożeni sądzili z początku, iż wybuchł groźny pożar. W zakładzie gazowym trąba powietrzna porwała znaczną ilość złożonego na podwórzu węgla kamiennego. W innem znów miejscu porwała na ulicy i uniosła do znacznej wysokości dziewczynkę. Nie poniosła ona przy opadaniu żadnego uszkodzenia. Trąba powietrzna trwała trzy minuty.

*** W Berlinie otruła się powszechnie poważana rodzina A. Sellak, złożona z obojga małżonków i przybranego ich syna, doktora filozofji Schultze Sellak; powodem samobójstwa ruina majątkowa.

Z ALBUMU ORYGINAŁÓW.

Nie łatwa to w dzisiejszych czasach rzecz zająć miejsce w takim albumie, nie tak łatwo być oryginałem, jak się zdaje.

A niby niewiele do tego należy; utrzymują nawet niektórzy, że właśnie o jedną klepkę mniej od zwykłych ludzi mieć trzeba.

W naszym wieku, nawet współcześnie, kronika zanotowała kilka nazwisk takich dziwaków i oryginałów, o których w niniejszym artykule wspomnieć zamierzamy.

W dniu 1. maja zmarł w Paryżu 79letni starzec, znany dobrze pod przezwiskiem *le vieux Pigeon* (stary gołąb) po wszystkich przedmieściach nadsekwańskiej stolicy.

Od niepamiętnych czasów ojciec Pigeon był najpopularniejszą osobistością na jarmarkach w Paryżu i okolicy; odgrywał on oryginalną rolę zachwalacza wyzwolonych sztuk: magji, ekwilibrystyki, pyrotechniki i innych kunsztów, pokazywanych za skromnem wynagrodzeniem w budach jarmarcznych.

Ojciec Pigeon był to ucieszny i wesoły *bajazzo*, zwołujący publiczność na widowiska cyrkowe, umiejący zachwalać i rozciekawiać tłumy w sposób najdowcipniejszy.

A przecież ten siwy błazenek był potomkiem jednej z najstarszych rodzin francuskich i nazywał się właściwie August, Fulbercjusz, Ludwik de Bastard.

W młodości podróżował wiele i przepuścił znaczny majątek. Z wyspy Jawy odesłano go kosztem rządu do Francji. Przybywszy do Paryża, z niewytłómaczonych przyczyn obrał sobie zawód histrjona jarmarcznego i 35 lat spędził przed budami rozmaitych kuglarzy i linoskoków, reklamując ich wysoki „artyzm i podziwienia godną zręczność, oraz niezrównaną biegłość w sztuce“.

Jeszcze na dwa dni przed śmiercią zwoływał publiczność na „łamane sztuki“ — niewidziane dotychczas w Europie“ jakiegoś „słynnego profesora gimnastyki“ w budzie przed mostem Austerlitzkim.

Nagle głos mu zamarł w krtani, stracił przytomność, padł i więcej już nie powstał.

W jego mieszkaniu znaleziono... 45,000 franków, zaoszczędzonych przez tyle lat upokarzającego zawodu.

Testament, spisany własną ręką ojca Pigeona — naznaczał spadkobiercom syna jednego z dawnych chlebodawców oryginalnego *bojazza*.

Tajemnicę swego życia, która go na tę drogę zepchnęła, zabrał z sobą do grobu.

* * *

Przed kilkoma dniami zmarł także osobliwszy oryginał w Wiedniu; był nim niejaki dr. Sacks, dentysta.

Krewnym swoim zapisał on dożywotnią rentę; resztę zaś majątku, wynoszącego około 140,000 guldenów, rozporządził w sposób następujący:

„Ustanawiam dwie fundacje mojego imienia, napisał własną ręką w testamencie; każda wynosić będzie połowę mego mienia. Odsetki z jednej połowy przeznaczam do rozdania osobom, cierpiącym na wadę sercową, aorty, lub kongestje, a tem samem nie mogącym usiedzieć długo na jednem miejscu. Niechaj odtąd żyją swobodnie i niezależnie, utrzymując się z mego funduszu. Kawalerowie mają pierwszeństwo do korzystania z mego legatu. Odsetki drugiej połowy mają być użyte na stypendja dla dzieci prawego lub nieprawego pochodzenia od początku aż do ukończenia studjów technicznych. Kuratorką tego całego zapisu mianuję gminę izraelicką w Wiedniu“.

* * *

Wiele hałasu narobiła też w ostatnich dniach ciekawa historja Alojzego Hellera w Wiedniu, dziwaka *sui generis*.

Heller, człowiek przeszło pięćdziesięcioletni, był synem jakiegoś angielskiego duchownego i młodej Austrjaczki, córki bogatego właściciela dóbr.

Z tego stosunku zrodzone dziecko odpokutować musiało błąd rodziców; wprawdzie Anglik umierając zapisał mu bardzo znaczny majątek, ale nazwiska dać mu nie chciał; matka odziedziczywszy także spadek po ojcu wyszła za mąż za znacznie młodszego człowieka i przestała się zupełnie troszczyć synem, który wzrastał na łasce Bożej i opiece dobrych ludzi.

Doszedłszy pełnoletności, odebrał ogromny majątek i zaczął używać świata z całą młodzieńczą nieoględnością.

Niepraktyczny a rozrzutny i schlebiający własnym namiętnościom wkrótce nadszarpnął swoją fortunę, która musiała być bardzo znaczną, skoro do dzisiejszego dnia pozostała z niej reszta wynosi jeszcze około 80,000 guldenów.

Heller był zawsze wielkim wielbicielem płci pięknej, jakkolwiek nie dał się zaprządz w jarzmo małżeńskie.

Zajęty ciągłemi miłostkami, musiał później wychowywać cały tuzin żywych pamiątek, na które większą część swych dochodów wydawał.

Za każdą zmianą swej miłości przyjmował jednocześnie nazwisko nowej bogdanki i uchodził za jej krewnego, czem w opinji świata salwował honor i uchylał domysły, mogące zniesławić jego protegowane kuzynki.

Utrzymywał na przedmieściu osobne mieszkanie, w którem miał urządzoną kancelarję dla siebie.

Do niej zaglądał codziennie, odpisywał na mnóstwo listów i załatwiał swoją korespondencję prywatną.

W ostatnich czasach zwrócił na siebie uwagę władz policyjnych swojemi dziwactwami; musiano go wreszcie uznać za niepoczytalnego.

W mieszkaniu jego np. znaleziono pod kupą sukien, zapylonych od kilku lat i zgryzionych przez mole, sumę 30,000 guldenów w gotowiznie i obligacjach.

W licznych kufrach i pakach rozstawionych w pokojach, trzymał pod kluczem mnóstwo garniturów, nigdy nieużywanych, około 100 par butów nieznoszonych, ale tak zniszczonych przez mole i pleśń, że o użyciu ich mowy być więcej nie może.

Zawinięte w szmatkę leżały akcje wartości 7,000 guldenów.

W osobnej, dużej skrzyni znaleziono oryginalną kolekcję paczek i pakuneczków, starannie owiniętych w papier i opieczętowanych; znajdowały się w nich pióra stalowe, skrawki bibuły i druków, wreszcie okrawki cygar.

O przeznaczeniu tej „rarytnej“ zbieraniny nie chciał Heller dać komisji policyjnej żadnego wyjaśnienia.

Dowiedziano się od niego tylko, że posiada w jednej z finansowych instytucji kapitał 40,000 guldenów, złożony w depozycie.

Pomiędzy szmatami znalezione obligacje należały do epoki z pierwszej połowy bieżącego stulecia; przy wielu nawet nie podcinano kuponów, które dzisiaj swoją wartość straciły.

Stary maniak nadużył życia, majątku użyć nie potrafił.

* * *

Nie zawadzi wspomnieć w tem miejscu jeszcze jedną osobistość wielce oryginalną z tego względu, że nazwisko jej spotkać można po wszystkich skałach Tyrolu, Styrji, Salcburga i Karpat wypisane.

Nie ma prawie ściany stromej w Austrji, wieży wysokiej, mostu, drzewa pamiątkowego, groty godnej zwiedzenia, aby się nazwisko Józefa Kyselaka odszukać w niej nie dało.

Człowiek ten cierpiał manję podpisywania się wszędzie, gdzie tylko ręka oparcie znalazła.

Opowiadano o nim, że zawiedziony w miłości postanowił swą lubę prześladować w ten sposób swojem wspomnieniem; zmarły przed dwoma tygodniami kuzyn tego oryginała sprostował błędną legendę: Kyselak nabył tej manji przez przyzwyczajenie.

W pewnem towarzystwie zrobił on zakład, że w przeciągu lat trzech wsławi swoje nazwisko w całej monarchji austrjackiej, nie wydawszy ani jednego dzieła, nie popełniwszy ani jednej głośniejszej zbrodni, nie odzywając się nawet do nikogo.

Po upłynięciu tego terminu miał każdy strzelec na górach, każdy pasterz w dolinach znać nazwisko Kyselaka.

I tak się stało. Kyselak przed oznaczonym terminem wygrał zakład; nazwisko jego rozniosło się po całej prawie Europie przez turystów, którzy je na każdym niemal kroku spotykali.

Zdawało się, że ono wraz z drzewami wyrasta, razem z bluszczem wspina się po wszystkich ruinach, spada w przepaście, wzlatuje na wierzchołki gór, na szczyty wież, drapie się po wszystkich murach, a to tylko pracowita i jedną myślą kierowana ręka manjaka kreśliła je wszędzie, bezustannie, uparcie.

Zabraniano mu urzędownie szpecić swoim podpisem mury gmachów nowowystawionych; Kyselak nie mógł przenieść tego na sobie, aby gdzieś ukradkiem nie umieścić swego nazwiska.

Zagrożono mu grzywną, jeżeli się poważy podpisać na nowo zbudowanym moście na Dunaju; pierwszego dnia rzeczywiście most nie nosił tej oryginalnej ozdoby, ale na drugi dzień rybak płynący pod arkadami obaczył podniosłszy głowę ogromnemi literami wypisane na sklepieniu nazwisko: Kyselak.

Cesarz Franciszek kazał go przywołać do swego gabinetu, aby mu osobiście zabronić tej dziwacznej popularyzacji.

Zapamiętały manjak z pokorną miną stojąc u biurka cesarskiego słuchał reprymendy, lecz kiedy już odszedł milczący — monarcha w dłonie plasnął z oburzenia: na biurku ogromnemi literami czernił się podpis Kyselaka.

Mnóstwo anegdotek ukuto na jego korzyść z powodu tej manji podpisywania się wszędzie.

Nawet śmierć jego, która faktycznie nastąpiła w r. 1831, starano się w jedenaście lat później, otoczyć urokiem legendy.

Opowiadano o nim, że, dowiedziawszy się, iż przy niskim stanie wody wystaje z Dunaju oryginalna skała jakaś, wybrał się z pendzlem i farbą olejną w celu uwiecznienia tam swego nazwiska. Niestety — spóźnił się, zastał to miejsce już wodą zalane. Wówczas zawiedziony, zrozpaczony, miał się rzucić do rzeki i utopić.

Kyselak zaś umarł na cholerę skutkiem zaniedbania dyjety.

Była to niska, pękata figurka, pojawiająca się zawsze w towarzystwie dwóch ogromnych pudlów.

W hierarchji społecznej nie zajmował wyższego szczebla, pomimo swej popularności i rozgłosu; był „c. k. akcesistą c. k. registratury“.

Treść Nr. 19.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.